

JAN ŚWIERK.

# T. S. L.

ZACZĘTA I NIESKOŃCZONA NIĆ.



KRAKÓW.  
NAKŁADEM AUTORA.  
1910.

*Własność Bogus...*

*12/1920*

K-97/74 P



43738

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0441874

Z drukarni Aleksandra Rippera, Kraków.

„Jedyna droga rozwi-  
dnień i oświeceń, droga  
miłości i wyrozumienia“.

*Słowacki.*

Nowo związane Koło T. S. L. zaczyna działać:

Czasem mi się zdaje, iż wschodzi ono promykiem światłości nad wielkimi obszarami ciemności. Czasem zdaje mi się, rozpina ono skrzydła białego ptaka i rwie się do lotu nad chatami, polami, smugami tych zielonych błoń, po których białowłose pacholeta błakają się zostawione bez opieki.

Śmieją się ze mnie.

Ot zwyczajnie jak z człowieka, który chory jest na serce.

— Kochać lud? kochać te niezliczone zastępy pełne wad i win, toż przecie dobre w deklamacyi, ale w rzeczywistości trzeba patrzeć jasno i wiedzieć, iż samą miłością nie zdziała się wiele.

Lecz ja „doświadczonemu“ koledze odpowiadam:

— Dlatego iż lud kocham, chcę do pracy

nad oświatą spleść tysiące ramion i zjednoczyć serc tysiące.

— Tu i tam praca się powiedzie, lecz ogół zostanie jakim był.

— Chociażby jedna szkółka, jedna czytelnia i jeden kurs dla analfabetów, i to dobre.

Lecz pesymizm chodzi krok w krok za Felkiem, Rosą, Omegą i innymi i niby styczniowy wicher mrozi zwątpieniem.

— Bawicie się! woła Felek, myślicie, iż apostołami oświaty jesteście, a to zabawka.

— Gdybyż tak bawiących się było jak najwięcej odpowiadam z smutkiem.

Nowo zawiązane Koło zaczyna żyć.

Garstka życzliwych splotła dłonie w łańcuch i zatoczyła Koło, którego celem „droga rozwidnień i oświeceń“.

Zdaje się, iż i ciepłej i jaśniej poczyna się robić.

Spotykam ludzi i szeptę w duchu: — On nasz — on z T. S. L. więc pójdzie z nami, a ci, którzy jeszcze na uboczu stoją, zbliżyć się będą, gdy zrozumieją nasze cele.

„Jedyna droga rozwidnień i oświeceń, droga miłości i wyrozumienia“. Droga tę ma iść nasze Koło. Ma wiele wyrozumieć i wiele miłować, bo rozwidniać i oświecać można tylko wtedy, gdy się całe serce tej idei odda.

Wszystko zapowiada początek dobry.

Wydział wybrany. Datki się posypały.

Teraz tylko jak z srebrzystej kądzieli rozsnuwać nić, i prząść, i wić, i wić, i wić...

A przez wiele to pól i wiosek z tą nicią oświaty iść trzeba!..

A przez wiele to serc i dusz przeciągnąć trzeba ów złoty promyk, który się rodzi z kart elementarza!..

Wszak jeszcze analfabetów liczba ogromna, a jeszcze wiosek i przysiołków bez szkółek nie mało.

Pani Zofia na pierwszym posiedzeniu wydziału upominać się zaczęła o szkołkę w Brzegach.

— Ogromna wieś bez znajomości alfabetu. Tak blisko nas, tak często spotykało się miasto nasze z ludźmi z Brzegów, a tak nikt nie zapytał: — dlaczego ludzie ci ciemni są?... Wstydzimy się plam na sukni, otrzepujemy z powiek kurz i pył, a nie wstydzimy się mieć analfabetów?..

Pani Zofia przedstawia rozliczne dowody, które świadczą wymownie, iż nie lud jest zły, ale ciemnota jest matką win i upadku.

— Czy my, którzy mamy w oczach rozpalone światło wiedzy, możemy zrozumieć i pojąć czem jest analfabetyzm?

— Przepędźmy jeden rok życia bez książek, gazet, dzienników. Lecz co mówić, rok, mie-

siąc, tydzień jeden spędźmy bez czytania, a poznamy głód ducha i czuć się będziemy ubożsi w myśli. Czy bylibyśmy my lepsi, gdybyśmy wśród takich mroków żyli, jak żyje lud nasz?

Wniosek pani Zofii przyjęty.

W Brzegach otwieramy szkołę zaraz, jak najrychlej, w warunkach jakie są.

Znam ja Brzegi, znam. Mieszkałem tam parę tygodni zajęty przy regulacji rzeki.

Wieś duża, a mieszkańcy robią wrażenie skamieniałego świata odgrzebanego wśród popiołu i piasku.

Mieszkałem u Mataszkowej, byłem w dymnej nędznej chacie, widziałem pół nagie dzieci tulące się na ławie przy okienku o jednej szybce, patrzyłem na Mataszkową jak w zawieszonym kotle nad ogniskiem „warzyła“ śniadanie, a zdawało mi się, iż to wszystko nie jest rzeczywistością lecz zmorą lub snem gorączkowym.

Jak można było uchować tak wszystko z lat dawnych, a nie wziąć nic z dni teraźniejszych!

Nic?

O nie!

Jedną tylko biedę i nędzę z dni teraźniejszych przysnuli ci ludzie do wszystkich dawnych zabobonów, przywar i nałogów i tylko tyle mają świadomości o teraźniejszości, iż

„przódzi“ ludzi było mniej, a ziemi świętej więcej, a teraz ludzi „wiele“, zaś roboty i ziemi coraz mniej.

— Do Prus jeżdża, bo niema z czego wyżyć, mówi Mataszkowa. Jak trafi na dobre Prusy, to zarobi i stówkę, a czasem i więcej, a nauczy się „lumerą“ poznawać i po niemiecku czytać.

Uczułem ból piekący.

Taką opieką otaczaliśmy rzeszę bratnią, iż dopiero „w dobrych Prusach“ zaczynają niektórzy uczyć się czytać i „lumerą“ poznawać.

Wieleż to wiele Kół T. S. L. trzeba potoczyć po obszarach Ojczyzny, ażeby spieszyć z pomocą zgłodniałym rzeszom i pracę oświatową uczynić istotnym ratunkiem w narodzie!

A więc byliśmy w Brzegach.

Długo błakaliśmy się po wsi, zanim zdołaliśmy wyszukać chatę na szkołę.

Chatę mówię, lecz gdy to piszę, mam w oczach zdaje się łzy, bo coś mi i mroczno i coś słoną wodą gryzie głęboko.

Wieś liczy 270 „lumerów“, jak powiada „pisorz“, a tych 270 „lumerów“ nie ma w sobie ani jednej zdrowej, schludnej, jasnej i wygodnej izby, takiej w którejby się tymczasowo mogła nauka odbywać.

Prawie każde wejście do chaty, to przej-

ście przez gnojowisko cuchnące i rozlewające się szeroko.

Prawie w każdej chacie tuż obok izby mieszkalnej, znajduje się stajnia, a czasem trudno rozpoznać, co gorsze i biedniejsze, izba czy stajnia.

Wreszcie, po wielu trudach i cierpliwem szukaniu, znaleźliśmy kowalową chatę, o tyle lepszą od innych, iż ma okna otwierane i komin.

Kowal wydzierżawia tę chatę za cenę 100 koron rocznie. Ławki robi cieśla. Stary góral jeszcze z pułku Radeckiego, który zawsze opowiadanie od Radeckiego zaczyna.

Szafę i stół przyrzekła darować pani Skierka.

— A kto będzie uczyć? pyta ciekawie piękna panna Nuta.

— Któż będzie więcej uzdolnionym i uprawnionym do rozdawnictwa światła, jeśli nie pani?

— Ja? w tej chacie? tu?

Zbladła i zdaje się serce w niej zamierać poczęło na myśl podobnego czynu.

Ulitowałem się.

— Niech się pani nie lęka. Nauczycielem będzie brat „pisorza“, jest tu gajowym.

— Ależ metoda? system? teoria?

Stoimy przed kowalową chatą i patrzymy na pannę Nutę z uśmiechem.

— Owszem, niech pani znajdzie apostoła światła z metodą, praktyką i co najważniejsze z poświęcenia ogniem, niech go pani wprowadzi w progi tej izby.

Felek zaś ostro:

— Żaden z nauczycieli egzaminowanych nie zgodzi się na taką i pracę i płacę.

— Zupełnie słusznie, nauczyciel ma prawo żądać, by wszystko odpowiadało obowiązkowi i pracy.

Panna Nuta jest ukończoną seminarzystką, ma zdaje się wszystkie stopnie z odznaczeniem zapisane w świadectwach, przygotowana jest należycie do pracy nauczycielki, ale niema prawdopodobnie „z odznaczeniem“ stopnia z tego ukochania ludu, które prowadzi do ubogiej chaty kowalowej i otwiera wrota do pracy.

— Szkoła musi być doskonała, a wtedy i doskonale nauka będzie prowadzona — mówi panna Nuta, poprawiając białą rączką olbrzymi kapelusz nad czołem — T. S. L. musi świecić przykładem i rozpoczynać naukę wzorowo.

Więc ja tłumaczę:

— Nim doskonała szkoła stanie, nim ukwalifikowany nauczyciel przybędzie, wszak niech tymczasem uczą się cokolwiek, niech chociaż litery poznają. Szkoda każdego miesiąca, każdego tygodnia, każdego dnia.

— Lecz jakże można oddawać naukę w ręce człowieka nie przygotowanego, jak można otwierać szkołę w chacie tak nędznej!

— A jak można było wieki zostawiać lud bez wiedzy i alfabetu?... Do idealnie urządzonych szkół dążyć będziemy, do wyszukiwania najlepszych sił nauczycielskich pospieszymy, ale teraz, zaraz, nauka musi się rozpocząć. Dość odkładania i dość czekania.

Właśnie przyszedł brat „pisarza“.

Słuszny, miły chłopak. Ukończył w mieście „cztery gimnazye“, jak zapewnia ojciec, do czytania wielce ciekawy, uczyć będzie z ochotą.

Robi wrażenie dodatnie. Zresztą miewał lekcye w mieście i w drugiej wsi już czworo nauczył czytania.

Panna Nuta trochę główką kręci, bo owe pojęcie „metody“ i „systemu“ strasznie strąca nisko naszego światłodawcę, ja jednak radbym uściskać i ucałować poczciwego człowieka, który chce uczyć w tej najuboższej wiosce.

— Byle zrobić początek, byle książki rozdać, byle tu dzwonek zadzwonił i pieśń jego płynęła nad chatami; tak pragnę tego święta, tak mi się serce rwie do tego...

Felek się uśmiecha na te moje słowa złośliwie. On zawsze ten sam.

Narada trwa, umowa dobiega do końca. Za dwa tygodnie nauka będzie rozpoczęta.

— Więc T. S. L. wielki ptak, rozepnie skrzydła i nad Brzegów chatami, szepce z radością siadając naprzeciw panny Nuty.

Zjeżdżamy z góry. Widok malowniczy rozciąga się przed nami, a mnie się zdaje, iż każdy ptak dzwoni mi ów wyraz słodki:

— Szkółka! Szkółka! Szkółka!...

Droga kręci się ślimaczo, widzę jeszcze chaty, widzę modrzew stary, a za nim tuż kowalowa chata, która ma komin i otwierane okna. Tyle jej godności i majestatu — okna otwierane!...

Pani Skierka po chwili pyta:

— Czy doprawdy nie boi się pan rozczarowania? A jeśli „pisarza“ brat będzie złym pedagogiem!

— Mechanicznie poprowadzi naukę, panna Nuta twierdzi stanowczo.

— Nic nie nauczysz, bo sam nie wiele umiesz — rezonuje Felek.

— Wolę to wszystko aniżeli myśleć o tem, iż dopiero „w dobrych“ Prusach nasi się uczą czytać.

Po łąkach rzucają się cienie z przydrożnych wierzb. Zachodzące słońce rysuje dziwne kształty światła i cieni, dzieci wystraszone stają, patrząc na nas jako na gości nie widzianych.

A mnie radość otula w swe ramiona i szepce słodkie słowa:

— Szkółka T. S. L.! Szkółka T. S. L.!

Spotyka mię sędzia i robi wymówki.

— Tak dawno pan nie był łaskaw. Spodziewaliśmy się...

— Czy pan nie wie, iż T. S. L. zawiąza-  
liśmy?

— Wiem! wiem! Ale cóż to ma do od-  
wiedzin u nas...

— Jestem sekretarzem, skarbnika często  
zastępuję, tyle pracy i tyle pragnień, ażeby  
Koło rozwinęło się.

— Ot moda i pozowanie!

— Nie w T. S. L. Tu jest praca istotna...

— Co wy zrobicie? Ciemnota się wpiła  
głęboko, nie łatwo ją zedrzyć.

— Pojutrze otwarcie szkółki dla analfa-  
betów w Brzegu.

— Cha! cha! cha!... toście sobie obrali  
ładną gminę na początek! Najgorsza wieś  
w powiecie. Najgorsi ludzie!

— Właśnie dlatego chcemy iść z pochod-  
nią oświaty.

— Nie wierzę w powodzenie. Ja w izbie  
sądowej spotykam się z tym niby pieszcz-  
nym waszym Benjaminkiem, z tym ludem  
ukochanym, ale to są draby, złodzieje, pijaki,  
siedziałyby to wiecznie w sądzie i za obrazę  
honoru skargi wytaczałyby... za obrazę ho-  
noru... słyszysz pan?... Wy myślicie, że im  
nauki trzeba...

— Jakto?... przedewszystkiem nauki...

— Pan na seryo to mówi?...

— Przepraszam, członek T. S. L. żartów  
z oświaty nie robi...

— Sługa uniżony! O czym mowa?...

— Dzień dobry!... Będzie dalszy ciąg winta?

— Musimy skończyć, doskonale szła wczoraj  
partya.

Zostawiłem ich zajętych żywą rozmową  
i wymknąłem się, lekko uchyliwszy kapelusza.  
Nieznośni ludzie!...

— Pani! ja nie mogę, w żaden sposób nie  
mogę jechać. Przyjeżdżają goście, muszę zo-  
stać w domu.

— Jabym bardzo rada, ale drogi kamie-  
nistej z wybojami boję się.

— Właśnie mamy bilety do teatru do Kra-  
kowa i jedziemy południowym pociągiem.

— Misia kazała pana przeprosić, nie może  
być na otwarciu szkółki. Jutro są imieniny  
mecenasowej, trzeba się przygotować.

Tak mi wszędzie odpowiadano, gdzie przy-  
chodził, rozpromieniony, rozpalony i szczę-  
śliwy, jakbym miał stanąć na ślubnym ko-  
biercu, wszędzie gdzie prosił, ażeby więcej  
członków T. S. L. pojechało ze mną na  
otwarcie szkółki w Brzegu.

— Może pani będzie łaskawa wziąć udział  
w tej uroczystości—proszę znów inną damę...



może pani zechce obaczyć tę kowalową chatę, która ma komin i okna otwierane, na której widnieje piękny napis:

— **Szkółka T. S. L.!**

— Kiedy ja bez mamy boję się na wieś jechać. Ci ludzie są tacy jacyś dziwni... patrzą na nas z miasta jak na obcych...

Chciałem powiedzieć, iż ci z miasta istotnie są często obcymi, ale zacisnąłem wargi. Poco rozdrażniać.

Chodziłem i chodziłem jako najuboższy kwestarz, prosząc o to, by kto z członków T. S. L. chciał na otwarcie szkoły pojechać, lecz skończyło się na tem, że jeden prezes obietnicy danej nie cofnął.

Dziwne, niezmiernie dziwne, iż się tak ludzie boją wyruszyć z miasta na wieś. A boją się dlatego, iż ludu nie znają, nie znając zaś, nie umieją go pokochać, uszanować i ulitować się nad jego ciemnotą.

T. S. L. ma wielkie, ogromne zadanie także w tym kierunku, ażeby zbliżać lud do sfer inteligentnych i przeciwnie ludzi inteligentnych uczyć żyć z ludem i dla niego pracować, właśnie owo zbliżanie się osobiste idzie najtrudniej. Ludzie dadzą chętnie pewną kwotę na zakupno książek, dadzą jeszcze chętniej nie jedną radę, jeszcze nadto raźniej rzucą nieznacznie przestrożę lub zniechęcenia ziarenko, ale sami nie pójdą, nie staną

w progu chaty, nie zajrzą w głąb chłopskiej duszy, nie spojrzą na te przeleknione dziecięta, które idą do szkoły z trwogą i niechęcią.

Do Brzegów pojechaliśmy z prezesem.

Miałem w ustach słowa gorczy i niosłem w sercu smutek ciężki.

Zapisani do szkoły stawili się liczną gromadą.

Kilku gospodarzy starszych stanęło także z elementarzami w rękę. Z kobiet i dziewcząt starszych ani jednej nie było. Potrzebaby wpływu pań, ażeby zachęcić kobiety wiejskie do nauki.

Zawiesiliśmy na ścianie w izbie szkolnej obraz Matki Boskiej, Kościuszki i Głowańskiego, a prezes w przemówieniu wyjaśnił, dlaczego T. S. L. te obrazy umieszcza.

Niechże się rozpoczęta praca rozwija na użytek biednym ludziom, o których oświacie nie było komu dotychczas pamiętać.

---

Na posiedzeniu wydziału T. S. L. przedłożyłem kilka próśb wniesionych z wsi okolicznych, o założenie czytelnicy i biblioteki. Prócz tego zgłosiło się wielu nauczycieli z prośbą o przesyłanie prelegentów z odczytami.

Jeden z nauczycieli pisze:

— Ci, którzy nie zetknęli się bliżej z ludem, nie wiedzą jaki gład duchowy objawia się wśród młodych. Jak gdyby gorączkowe pragnienie paliło szeregi, tak się cisną do szkoły ci, którzy już zaczęli czytać książki i tak żebrzą o gazety, o pogadanki, iż z przykrością trzeba powiedzieć: nie ma książek!... nie ma gazet!...

— Cóż więc panowie myślą? — pyta prezes.

— Dobrzeby było zakładać czytelnie i wypożyczalnie, ale skąd pieniędzy?

— Dopiero zaczynamy pracować, początki nie są łatwe, zrobimy co będziemy mogli.

— Ile będziemy mogli, tyle zrobimy.

Wtedy uniosłem się niecierpliwością i zacząłem gadać i gadać bez końca:

— Moi Panowie! Gdyby T. S. L. chciało to tylko robić, co może, toby zrobiło bardzo mało. Przypominają mi się słowa Biskupa Sołtyka, przed tylu dziesiątkami lat powiedziane, które jednakże i do nas stosować się mogą. — „Nie ujrzymy nadziei zbawienia Polski — mówił Sołtyk — dopóki większa część Polaków, porzuciwszy rachować co mogą, nie zaczną rozważać — co powinni!“... Myśmy przechodząc przez ciąg długiej niewoli, upokorzenia, krzywd i nieszczęść łańcuch niezmierny, do dziś jeszcze nie

wydoskonalili o tyle swego ducha, ażebyśmy przestali rachować co możemy, a zaczęli rozważać co powinniśmy. Dlatego odrodzenie Ojczyzny naszej jeszcze jest marzeniem, a nie rzeczywistością, żeśmy nie wykonywali tego wszystkiego, cośmy wykonać byli powinni. A czyż w szeregu tych nie wykonanych obowiązków narodowych, praca oświatowa nad ludem nie stoi jako ciągła wymówka i skarga? Gdy w ważniejszych chwilach życia społecznego, od czasu do czasu, trzeba nam stanąć z wykazem statystycznym w rękę i wobec cywilizacji innych ludów Europy odsonić bliźnę, ciemnotę szerokich mas, wtedy jako na usprawiedliwienie własne, powiadamy: Robiliśmy, cośmy mogli... Niestety!... Wina jest po naszej stronie. Nie robiliśmy i nie robimy dziś tyle, ile czynić powinniśmy. T. S. L. musi być tą siłą, która wielu do czynu wzywa i prowadzi, a nie może czekać na to, co ci lub owi zekreślą w plan działania, obliczywszy ile mogą. Powinniśmy w kierunku szerzenia oświaty iść tak daleko, jak daleko spotkamy wioski bez czytelni, bibliotek i szkół.

Rozgadałem się, to prawda, ale większa część członków Wydziału poszła za mną.

— Powinniśmy mieć książki i prelegentów — zawołała pani Skierka.

Wśląd zatem padła decyzja, iż trzeba bę-



dzie urządzić kwestę książkową na czytelnie ludowe.

Co do ułożenia programu odczytów i uproszenia prelegentów, postanowiono wybrać osobną komisję.

Przedewszystkiem zaś trzeba dochody Koła naszego powiększyć.

Miasteczko liczy mieszkańców wielu, inteligencji jest zastęp znaczny. Któżby się trwożył pesymizmem?... Któżby z Polaków oświeconych nie pragnął pomagać w pracy T. S. L.?

Jak zwykle, gdy pewna grupa osób znacznie żywiej i energiczniej pracować, stają zaraz przeciwne obozy i albo złośliwie krytykują, albo przeszkadzają.

Nasze Koło T. S. L. dopiero 4 miesiące istnieje, zrobiło już wiele, gdy w Brzegu naukę rozpoczęło, a już niechęć pewnych osób, jak zielona żmija wysuwa się i poczyna szepać uwagi „doświadczonych“ myślicieli.

Jak to łatwo stanąć w obozie nie pracujących, lecz krytykujących!...

Jak to łatwo wziąć w ręce ostre nożyce i ciąć w lewo i w prawo, ażeby każdą gorętszą myśl i czyn odważniejszy do linii „równowagi“ doprowadzić.

Plekroć widzę żywopłot równo obstrzyżony, tyle razy doznaję przykrego wrażenia, bo

zdaje mi się — jest to symbol społeczeństwa trzymanego pod troskliwą opieką „spokoju“ i „równowagi“. Ciąć i równać wszystkie zamiary, cele i obowiązki nawet, to bezpieczna droga, ale dla narodu to nie zapewnienie żywotności ducha i sił.

Wczoraj na zwykłej herbacie u P.P. X. zaczęto T. S. L. krytykować. Najciekawsze właśnie było to, iż krytykowali ci, którzy zupełnie działalności T. S. L. nie znają.

— T. S. L... jest za gorączkowe, chciałoby w kilku latach zrobić to, na co potrzeba lat kilkadziesiąt.

— T. S. L... jest za natarczywe, chciałoby, ażeby wszyscy pomagali i wszyscy jako członkowie do szeregu stawali.

— T. S. L. jest za śmiałe. Od krańca w kraniec rozciąga swoją sieć i wszystkim pozwała pod swoim standarem stawać.

Tak mówił X. Y. Z... Ja i Felek stacaliśmy walkę i obronę sztandaru prowadziliśmy wytrwale, ale gdy już mi trochę za dużo tej krytyki było, porwałem się i skrzyłem nagle duża, stołową lampę.

Ciemność ogarnęła salon i dostojnych gości, a rozliczne okrzyki dzwoniły.

— Co to jest?

— Co to znaczy?

— Co się stało?

— Żart niesmaczny!

Więc ja wtedy poczynam prawić.

— Czy wam moi państwo teraz będzie bardzo wiele zależało na tem, kto do lampy zapalną przybliży i światłu życie powróci? Czy będziecie pytali najpierw, do jakiego stronnictwa, czy do jakiego obozu ten należy, kto światło czyni?...

— Do czego ten prolog? Świecić!

— Otóż T. S. L. także niczego innego nie żąda, jak tylko, by światłość niesiono, więc każdej jednostce wolno zostać członkiem, bo przez samo przystąpienie do towarzystwa, popiera się cel oświatowy.

Światło chcemy nieść i dlatego, iż za wiele w kraju ciemnoty, rwiemy się szybko do pracy...

Błysło światło — obecni patrzyli na mnie jak na dziwaka, lecz nie zważając na to, mówiłem długo i z zapalem, ażeby raz szczerze przedstawić tym „krytykującym“, czem nasza praca i ich „ostrożność“.

— Zostaliśmy w tyle wśród ludów Europy. Ciemnota zgnębiła lud, niezmierzone siły milionów są nieużyte dlatego, bo lud świadomości alfabetu nie ma, poczucie narodowe, uświadomienie obywatelskie to są uśpione siły, a my w waśniach i rozterkach politycznych obozów mamy stać i szukać drogi po której wygodnie i spokojnie iść można. Nie za gorączkowo działa T. S. L., nie za

śmiało są jego zamiary. Tylko ci za zimni i za leniwi są, którzy nie śpieszą, by pomagać.

— Przestań — szepce Felek — bo cię wyrzucą.

Istotnie, patrzą na mnie niechętnie i każdy wzrok pyta mię: Kiedy przestaniesz mówić?

O! ja wiem doskonale, iż ludzie nie lubią rozmowy na taki temat. Zarzucić, iż T. S. L. to i owo źle zrobiło to łatwo, ale wysłuchać wiele T. S. L. ma do roboty, wiele spraw jest i nagłych i pilnych, to za nudne.

Jednak i wtem jest powinność obywatelska. W szarą monotoność życia wnosić myśl o ideowej pracy.

Ilekróć widzę lub słyszę ludzi rozmawiających o byle czem i szukających zabicia czasu zapomocą byle czego, tylekróć przypominają mi się owe słowa Wyspiańskiego, który rzekł:

- Takby się nam serce rwało
- Do ogromnie wielkich rzeczy,
- A tu pospolitość skrzeczy —
- Włazi w serce, w usta, w oczy...

Tak! tak!... pospolitość skrzeczy na każdym kroku, wciska się w serce, w usta, w oczy, przygniata, przytłumia, przy ziemi trzyma, w ciasnym kółku zamyka i strzeże, ażeby śmielszym lotem jej się nie wyrwać.

Pani Zofia umie pokrzepiać.

Niejeden raz posadzają mię, iż spieszę tam nie dla poważnej rozmowy i nie dla podniesienia myśli, ale dla pięknych oczu Łucyi, kuzynki pani Zofii.

Ani mogą myśleć o tem zwykli ludziska, iż młody mężczyzna ma inny cel jak osobiste szukanie szczęścia. Ja wiem doskonale, iż gdybym nie był „sam“, nie mógłbym tak się oddawać w służbę T. S. L., jak oddawać się pragnę.

Bardzo trudno znaleźć żonę, któraby powiedziała mężowi: Poza biurem i poza domem masz jeszcze obowiązki do wykonania.

Może tyle panien pracować oświatowo, nie szukając własnego szczęścia, mogę i ja poświęcić kilka lat życia pracy wśród ludu.

Czyż to ja nie jestem uczniem pani Zofii, tej nauczycielki, która mię przysparnęła sercem i żyć duszą nauczyła?

Z tej to ja szkółki w świat poszedłem, w której ongi młoda panna Zofia pierwszą nauczycielką była i szarą przędzę życia ciutko na wrzecionko uwijała.

Przychodzę teraz do osiwiiałej pracownicy i pytam:

— Co czynić, by więcej serc i dłoni do pracy w T. S. L. wprzęgnąć? Czyż to nie dziwne, iż na tyle mieszkańców w Mroku dopiero 120 członków mamy?

— Trzeba T. S. L. do nich zbliżyć, gdy oni do niego przyjść nie umieli.

— Lecz jakże?... Słyszą o T. S. L. często, czytują o jego działalności wiele, patrzą wreszcie na owoce pracy...

A pani Zofia uśmiechnawszy się łagodnie powiada:

— Jedyna droga rozwidnień — droga miłości — trzeba mieć miłość i dla tych, którzy nie umieją ocenić, czem dziś poparcie pracy oświatowej:

— To trudno, niezmiernie trudno. — Ciemnemu, nieoświeconemu wybacza się wiele. Błądzi, bo nie zna drogi. Ale gdy oświeceni, wykształceni ludzie nie chcą zrozumieć, iż obowiązkiem ich jest popierać cele oświatowe, tego nie można wybaczyć. Jam może i nie winien, gdy ostro i niechętnie niejeden raz ozwę się do tych ludzi, ale coś tak człowieka boli i pali i przygniata żalem... Wszak ci ludzie tak wiele wzięli z skarbów wiedzy, a tak nie chcą nic dać milionom ciemnym.

Pani Zofia patrzy na mnie badawczo.

Poznaje dobrze, iż jestem zdenerwowany i rozżalony. Jak ongi uczniowi swemu w wiejskiej szkole mówi:

— Jaśku!..

— Wiem, co znaczy to wołanie... nie umiem miłować:

— Nie zbliżycie T. S. L. do serc tych lu-

dzi, gdy z miłością do nich nie przyjdziecie. Cóż są wymówki i wytykania win, jeśli nie krwawienie rany. Mało jeszcze członków do Koła w Mroku zapisało się, to znać, iż mało pracowaliście nad tem, ażeby Koło stanęło w blasku tego światła, do którego lgną serca i dusze.

— Ja sam czasem zaczynam tracić ufność, kilka osób pracuje, kilka tylko...

Pani Zofia więc radzi koniecznie nad tem czuwać, ażeby Koło umiało zachęcać, budzić i zbliżać ludzi obojętnych.

— Przedewszystkiem unikajcie narzekania i wyliczania nazwisk tych, którzy do T. S. L. nie przystępują. Nie mówcie o tych, których niema, lecz o tych, którzy są. Nie mówcie o wadach ciemnego ludu, lecz o zaletach ludzi oświeconych. Nie wołajcie raz po raz — tyle i tyle do roboty, lecz wskazujcie wiele zrobionego.

Zamyśliłem się. Istotnie! Ta uwaga doświadczonej pracownicy jest trafna.

Chciałem jeszcze o kilku sprawach pogawędzić, ale panna Łucya ubiegła z nowiną:

— Goście idą!..

Więc poczynam się żegnać szybko.

— Na herbatę prosimy, uśmiecha się słodko panna Łucya.

— Dziękuję, ale istotnie czasu nie mam...

— Goście są bardzo mili, dwie nauczycielki ze wsi.

— A tak! tak! — dodaje pani Zofia — z takich chat i z pól niedalekich owe istoty, chodź ty do nich z słowem T. S. L. na ustach i rozwesel czoło.

Zostałem.

Ta jedna z Zalesia — czarnobrewka, toć nie pospolity typ.

A u nas tak wszystko bywa pospolite.

Odbędzie się wspaniały wieczorek wokalnomozykalny z przedstawieniem amatorskiem na dochód T. S. L. w Mroku.

Pieniądzy nam trzeba coraz więcej.

Najpilniejszy cel założenie czytelnicy w Mroku. Pani Zofia upomina się o to słusznie. Szukamy ciemnych daleko, a nie widzimy najbliższych.

Nasza szkółka w kowalowej chacie potrzebuje przyborów, zaś pani Skierka stara się usilnie, ażeby w Lasku otworzyć kurs szycia.

Z Zalesia, czarnobrewka wniosła podanie o założenie czytelnicy, także z Lipieńca zgłosiło się dwu gospodarzy, prosząc o książki do czytania.

Nasz biały ptak, rozpinać musi skrzydła coraz szerzej, ale niestety — bez zasobów materialnych nie zrobi wiele.

Pieniądzy trzeba i pieniędzy!

A na zebranie pieniędzy wieleż to sił i czasu poświęcić musimy przy urządzeniu wieczorku.

Co kłopotu i co przykrości!..

Pani Zu grać nie będzie, bo jakaś tam przyczyna ważna. Pani Lo śpiewać przyrzekła, ale ponoś Omega czemś obraził, więc koncert odpada. Na próbach teatralnych już trzy razy role zmieniane. Program także przeznaczony.

Trzy tygodnie męki prawdziwej, a czasu poszło tyle, iż gdyby ci ludzie tyle godzin byli ofiarowali na jakąś istotną pracę, zarobiliby bardzo wiele na cel T. S. L.

Nie! nie! zgodzić się na to i obojętnie patrzeć na to wszystko nie mogę.

Pani Zofia skarciła mię jak pachole niesforne i niegrzeczne:

— Wyrozumiałości! wyrozumiałości!

— Lecz jakże pobażać takim rzeczom. Tam głód duchowy, ludzie wyciągają ręce, proszą o książki, gazety, tam dzieci żebrzą o naukę, tam nauczyciel błaga o pomoc, a oni tu trzy tygodnie tracą na marnowaniu czasu.

Panna Łucya spogląda na mnie nieco złośliwie.

— Gdyby na próby chodziła czarnobrewka

z Zalesia, toby pan chciał, ażeby trzy miesiące trwały próby.

— Nie zna mię Pani, gdy tak sądzi.

— Pan sam siebie nie zna, gdy myśli, iżby innaczej było.

— Właśnie mię to niecierpliwi i gniewa, iż są u nas tacy, którzy niby to poświęcają się i niby to wiele czynią, a w istocie oni sami siebie bawią i sami siebie za cel główny stawiają.

— Wszystko zawisło od uczuć, które w głębi nas tlą, rzecze pani Zofia. Że zaś wiele ludzi nie zna uczuć innych prócz samolubstwa, dlatego choć czynią wezwani na cel dobry, czynią także z samolubstwa...

— Przez tyle ksiąg wiedzy mądrość tych ludzi prowadzono i przez tyle smug światła w jasność ich myśli kierowano, a samolubstwo zostało? pytam chmurny i gniewny...

— Gdyby kierunek wychowania narodowego u nas był inny, T. S. L. nie potrzebowałoby wypełniać dziś tysiąca prac zaniedbanych.

Wracam do domu i zdaje mi się, niosę na sobie ciężki gład zwątpienia.

Koło nasze nie na wielkie obszary roztoczy skrzydła.



Nadszedł wreszcie ów wieczór.

Sala zaczyna się powoli ożywiać.

Ja stoję pod ścianą zadumany, zamyślony, niby widzę i nie widzę, niby słyszę i nie słyszę.

Weszło kilka osób. Zajęły pierwsze miejsca. Zasiadły sztywne, zimne, milczące.

A mnie jakiś zły duch szepce, iż ludzie ci przyszli nie dlatego, ażeby wesprzeć cele T. S. L., lecz ażeby wyśmiać i skrytykować amatorów.

Długa pauza.

Nie przychodzi nikt.

Ogarnia mię lęk i szepce:

— A jeśli będą pustki? A jeśli nie przyjdzie więcej osób i nam się koszta nie wróca.

W tej chwili do szyb okna dużej sali zadzwonił silny wiatr i bił monotonnie, nie wiem czy konarem bezlistnego drzewa, czy falą deszczu... a mnie zdawało się, iż to z przedmieścia Mroku pukają czarne, chude ręce nędzarzy i żebrzą o pomoc:

— Nam trzeba oświaty!... wołają jakieś żałośnie szepty... i zda mi się widzę roje tych dzieci z przedmieścia, brudne, odarte, brutalnie dzikie, rzucają kamieniami, wołają obrzydliwe wyrazy...

Dlaczego ten rój dzieci nie ma nad sobą roztlonej jasności wiedzy?...

Dlaczego serca te ukolebane były wszystkim co zło niesło?...

Wicher w szyby dwoni... jakieś szmery budzą mię z zadumy.

Wchodzą nowe osoby.

Więc się myśl moja wypogadza nadzieją.

— Przyjdą pewnie wszyscy inteligentni z Mroku, przyjdą pewnie, wszak jest tu bardzo wiele osób i wśród urzędników i wśród kupców. Nie wątpię o udziale profesorów i nauczycielek. Każde 2 korony rzucone przy wejściu do sali, to wzmocnienie siły Koła T. S. L. Dwie korony dać tej osobie jakie to łatwe! A gdy 300 osób tylko złoży opłatę, już będzie można otworzyć wrota do nowej świątyni pracy nad oświatą, już będzie można dać napis „Czytelnia w Mroku“ i książki jak ziarna spadać będą pomiędzy zgłodniałych.

Wtem wicher zaśmiał się szyderczo pukając w szyby.

W sali jeszcze bardzo pusto.

Kilkunastu gimnazjalistów stoi pod ścianami. Kilku rzemieślników zajęło dalsze, tańsze miejsca.

— Będzie kłapa! szepce Omega.

— Dopiero w pół do 8-mej, wyjaśnia Rosa.

— Jakto? już w pół do 8-mej! wszakże miał być początek o 7-mej.

— Czyż wy kolego nie rozumiecie tego, iż do dobrego tonu należy się spóźnić?

— Kto się ma spóźnić?

— Panie! Jest to choroba nieuleczalna



jeszcze i niema co z nią walki zaczynać. Zaręczam ci, że śmietanka Mroku zjawi się, bo nasz wieczór jest pewną nowością i występują siły z śmietankowej sfery, ale czekać trzeba cierpliwie.

— Nie obawiasz się, iż dochód będzie mały?

— Wobec wydatków, kto wie...

— Ależ po co tyle wydatków?

— Muszą być, inaczej by nie poszło, muszą być bukiety dla pań amateerek, muszą być gratisowe miejsca dla znajomych i dla rodzin.

— Oto są najważniejsi... Radca X z żoną...

— Jest i Doktor Y... ho! ho!... on rzadko się zjawia.

— Osób coraz więcej — doskonale.

Wspaniała rzecz!

Trzy tygodnie latania, biegania, proszenia, błagania, pracy, mozołu, a w końcu po wieczorze muzykalno - wokalnym, połączonym z przedstawieniem, zostało czystego dochodu dla Koła 86 koron, 670 koron pożarły wydatki!...

— Opłata sali, światło, służba, ogłoszenia, krzesła, kulisy, bukiety, doróżki... wylicza mi Omega, a ja niedołęga jeszcze przeliczam pozycję za pozycją i mam nadzieję, iż odkryję pomyłkę, odnajdę większą sumę.

Niestety.

Na pieniądze przeznaczone dla T. S. L.

czyhał smok siedmiojęzyczny i pożarł całego ptaka ofiary, zostawiając nam tylko pazurki i kosteczki.

A w Mroku czytelnik niema! Ubodzy rzemieślnicy i robotnicy nie mają gdzie spędzić wieczornych chwil kilka, cisną się do szynków...

A dzieci z przedmieść Mroku dzikie są i brudne, rzucają kamieniami i cięższymi od kamieni wyrazami przekleństw i gniewu...

T. S. L... biały ptak jasności i światła, za mało ma piór, ażeby skrzydłem swoim sięgnąć tam i z mroku upadków wyprowadzić w świt prawdy...

O! te przyzwyczajenia, nałogi, etykietalne zobowiązania i czcze myśli...

Między nami a ludem istnieje jakiś nieokreślony rozdział, jakaś przestrzeń moralna, duchowa, taką falą obojętności i nieznajomości oddziela nas od ludu i siermiężnego i robotniczego, iż nawet dla wielu zdaje się to egzaltacją lub intrygą polityczną, co o miłość dla ludu woła i do pracy nad ludem wzywa.

- — a jednak przecie warto  
— Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą,  
— Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem,  
— I głodnych karmić ideału chlebem.

- Warto, chociażby raz, na chwilę jedną
- Położyć palce na dusz ludzkich ranie
- I w lepsze światy powieźć rzeszę biedną,
- Prawdy i piękna dać jej pożądanie!...

Jednak przecie warto rozgrzać serce swe miłością ku tej braci, która przez długie wieki w zapomnieniu stała na uboczu.

Jednak przecie warto podźwignąć z nawyknienia i nałogów ciemnoty tego olbrzyma, który może stać się mocniejszy nad przemoc, który może stać się silniejszym nad tych, co nas gniotą i męczą.

Jednak przecie warto nie dla celów zysku i zapłaty, nie dla agitacji partyjnych, nie dla zyskania popularności, nie dla modnego pozowania, do ludu się zbliżać, lecz dlatego, iż ci, w bluzach robotniczych, ci przy kielni i młocie, ci na roli przy pługu, to wszystko prawi dziedzice tej Polski, która była i jest...

Lecz ludzie stoją zimni i niepewni, nie czyniąc ani co mogą, ani co powinni.

My a lud?... szepczą nie jedne usta... powinniśmy, ale nie możemy...

— Niech ci wypełnią, co spełnić mają — twierdzą niejedni, to już będzie wiele i nas nie trzeba obarczać.

— My a lud!... My na swoich barkach dźwigamy takie bryły obowiązków i ciężkich prac, my mamy tyle trudu i mokołu w codziennej walce o byt, o chleb, o utrzymanie

domu i rodziny, iż istotnie choć powinniśmy nie możemy nad ludem pracować.

— My a lud! — odzywają się znowu inne głosy... — kiedyż bo my się tego ludu trochę boimy, kiedy bo do niego zbliżać się tak zanadto serdecznie nie można, kiedyż bo on ma jeszcze w sobie dużo dzikiego zwierza i często za najlepsze chęci i uczucia odpiąca się gniewem i nieufnością...

— My a lud! — nieśmiało wreszcie mówią niektórzy, kiedy bo my nie umiemy nad ludem pracować, nie wiemy czego mu trzeba, nie rozumiemy od czego zaczynać i do czego prowadzić, gdy tyle rozmaitych nawoływań i hasła dokoła, gdy jedni wiodą do Boga i wiary, drudzy do prawdy i poczciwości, inni do zemsty i nienawiści...

Tak się zdania, sądy i zapatrywania ścięrają.

Tak się chwieją pragnienia i rysują niewyraźnie cele.

A T. S. L. dla tych wszystkich otwiera swój statut i powiada:

— Wytknięty cel, wskazane środki, tylko splećcie ramiona w bratnie Koła i idźcie z nami...

Może kraj wybudować tyle a tyle szkół przez rok, może Rada szkolna tyle a tyle posad stworzyć, mogą nauczyciele i nauczycielki tyle a tyle światła roznieść po wioskach

i szkółkach, mogą kółka rolnicze tyle i tyle dopomódz w sprawie rolnictwa i handlu włóściańskiego, to wszystko nie uwalnia nas od pamiętania o tem, co my powinniśmy dla ludu czynić.

Powinniśmy pośrednio i bezpośrednio, powinniśmy i za dziś i za wczoraj zaniedbane, powinniśmy i dla dziś i dla jutra nieznanego pracować, ażeby nasze dzieci nie wstydziły się tak jak my dziś płoniemy rumieńcem wstydu, iż mamy tysiące analfabetów i tysiące niewydobyte z mroku ciemnoty.

Gdyśmy jechali do Lasku na otwarcie czytelnicy, śpiewały nam skowronki nad polami unoszące się, witały nas zielone pęki na wierzbach przydrożnych, uśmiechała się do nas wieś górską, upowita w lasy i oszańcowana górami.

Pani Skierka miała trochę kwaśną minę, bo o szkółkę robót ręcznych szło jej więcej jak o czytelnicy, a szkółka została przesunięta na dalszy plan.

Nie z naszej winy.

Mieszkańcy Lasku sami prosili gorąco kilkakrotnie o czytelnicy, do szkółki nie okazując żadnej ochoty.

Dopiero później zrozumiałem, dlaczego tak było.

Już przed wsią ujrzelśmy gromadkę dzieci. Było to niedzielne popołudnie, dzieci więc

widocznie odświętnie ubrane czekały na nasze przybycie, bo gdyśmy zaczęli zjeżdżać w dolinę rzeki, dzieci z krzykiem rzuciły się do wsi.

— Nie wiem, czy to radość, czy trwoga unosi ich tak szybko — mówi z uśmiechem pani Skierka.

— Może i jedno i drugie, jakkolwiek wolałabym mieć to przeświadczenie, iż cieszą się nami.

— Mogę wam zaręczyć, iż na wieść o czytelnicy cieszą się — rzeknie Bicz. — Lud niezmiernie lubi czytać i dzieci rwą się do książek z nienasyconym pragnieniem, tylko trzeba mieć czytelnicy kierować i książki odmieniać.

Bicz, to nowy członek naszego Koła, przeniesiony niedawno do Mroku. Ma wiele praktyki, bo w T. S. L. poprzednio pracował.

Wjeżdżamy do wsi.

Przed szkołą czeka gromadka włóścian, pan nauczyciel stoi na ganku.

Wyskakuję z wozu, witam się z wszystkimi jak z dawno znajomymi i taki jestem szczęśliwy, wesoły, iż zdaje mi się nikt i nic mej radości sponżyć nie może.

Wchodzimy do izby szkolnej.

Dziwnie brudna i uboga ta świątynia pracy nad posiewem wiedzy.

Ściany obdrapane, podłoga nie myta może lat kilka, ławki wstrętnie zabrudzone.

Na ścianie opleśniały portret cesarza i za stłuczonym szkłem, pajęczyną osnuty, obraz Pana Jezusa.

Na lewo ogromna mapa Monarchii Austriacko-węgierskiej.

Stanąłem w progu i kroku dalej zrobić nie mogę.

Wcisnęli się włościanie i pchnęli mię do środka. Oparłem się o brudną ścianę i patrzę, patrzę, a zdaje mi się w oczach mam kolące ciernie.

Jakaż dusza w tej izbie szkolnej mieszka, żyje, działa i pracuje?

Alboż tu jest dusza?...

Automat nakręcony do spełniania czynności, pisania  $2 \times 2$ ... manekin poruszający się tylko tyle, ile ruchu sprawi maszynka.

Przypominają mi się słowa Orzeszkowej, która w „Ad Astra” mówiła:

„Bywają serca pełne kupletów i pełne hymnów.”

Tak można rzec o szkółkach. Bywają pełne ducha i ognia, lecz są i puste, straszne wydmska piasku i kurzu...

Jakimże hymnem dzwoni to serce, które może żyć razem z brudem i zaniedbaniem?

Czemże karmi ten duch codziennie głodną rzeszę, gdy sam niema pożądanego wyższego nad zbycie swej pracy najmniej jako najemnik?

Jakże te dzieci nabiorą poczucia o życiu jaśniejszem i piękniejszym niż to, które widzą w chacie, gdy szkoła, matka nauki i prawdy, staje przed niemi w ohydzie najmniej służby, a nie w majestacie królewskiego rządu ducha i serca?...

O serca pełne hymnów!...

O szkoły pełne idei i zapału!...

Izba pełna, Bicz zaczyna przemawiać.

Pani Skierka strwożona niby i niby niepokojna, przysunęła się bliżej mnie. Niema na czem asiać, o brudną ścianę trudno się oprzeć.

Wszystko, co Bicz mówi jest jasne, zrozumiałe i dobre. Znać, iż umie do ludu przemawiać.

Teraz zwraca się do kierownika, oddaje w jego ręce bibliotekę.

— Otwiera się źródło, przychodźcie, czerpiecie i pijcie!... — woła do zgromadzonych mowca.

Lecz pan nauczyciel nieco zimną ręką odbiera te książki, stawia je na stole i zaczyna przemawiać.

— Jezus Marya! — szepczę do pani Skierki — pocóż on zaczyna od wyliczania wszystkich wad ludu i pocóż on już trzy razy ze swoją pensją wyjechał jak na galopującym rumaku?

— Chciał się widać pożalić...

— No dobrze, ja rozumiem, iż boli go niejedno i dokucza mu wiele, ale ta chwila, ta chwila otwarcia czytelni, to wszakże nie pora do wynurzania osobistych spraw.

Wreszcie skończyła się nieszczęsna mowa nauczyciela... Teraz imieniem gminy przemawia Snop, tegi, bystry góral.

Doskonale! Po prostu, szczerze dziękuje za książki, a chcąc nas uczcić wznosi okrzyk, niech żyje c. k. Stowarzyszenie Szkoły Ludowej!...

Trzeba było nie mało czasu, ażeby wytłumaczyć gospodarzom, iż Koło T. S. L. nie jest urzędem i nie ma c. k. urzędników.

— Więc panowie za to pensyi żadnej nie pobierają, że jadą do wsi, że książki wożą?

Wtedy już uniosła mię jakaś niewidzialna moc i siła. Sam nie wiem jak się stało, iż ja znalazłem się za stołem, że miałem przyniezione książki w rękach, żem do tych książek mówił jak do gwiazd i do słońc i do orłów, które mają lecieć po chatach i do serc się dobijać... Nie wiem, kto mi szeptał do ucha, kto podpowiadał, kto rozsypywał przed mą myślą słowa niewidzialne, bom ja przecie tak mówić nie zdolny, bo ja przecie nie potrafiłbym tak do serc ludu zbliżyć czytelnię w jednej chwili, bom ja miał jakiś żar na czole i jakiś ogień w sercu, aż cała izba szkolna stanęła niby w łunie zapалу i pod-

niosły się ręce w górę i rozległy się wołania żywe, namiętne:

— Książek! Książek!...

Zdawało mi się, iż stoję w jakimś niezmiernym obszarze i widzę pustkę dokoła, a z rąk mych lecą książki jak ptaki i do pól czarnych przypadając mnożą się w tysiące, — miliony, a za niemi idzie jasność promienna i wszystko w brzasku rozświtu widnieje...

Mówiąc z zapalem, brałem po jednej książeczce, podawałem wyciągniętym dłoniom... a zdawało mi się, że za każdą książką, wziętą przez czarne ręce, ciągnie się jakaś złota smużka jasności ducha i już prząść się będzie nicią nie ustającą...

Dopiero pan nauczyciel zbudził mię, gdy dość szorstko chwycił za książkę i rzekł:

— Co pan robi? co pan robi?

— Jakto co robie? książki rozdaje...

— Pokradną i koniec...

Czułem, iż muszę być błądy, a serce me zziębło strasznie uczuciem...

I oto stała się rzecz bardzo smutna.

Podniesione w górę ręce opadły...

Pan nauczyciel wołał ostro:

— Tu panie z chłopami nie można postępować jak w mieście z ludźmi uczonymi. Pokradną, rozbiorą i nie oddadzą... Trzeba zapisać każdą książkę, trzeba zapisać imię, nazwisko, liczbę domu, czy bierze dla siebie czy dla kogo innego, kiedy przyniesie...

Jakieś zimno zaczęło wiać od tych książek podawanych ręką nauczyciela, jakaś niby chmura osłoniła tę naszą biedną bibliotekę przyniesioną z T. S. L., a w sali słychać było cichy, głuchy szmer wzburzonych czy zranionych serc ludu...

Usunąłem się nieco pod okno...

Pan nauczyciel pisze i woła sztywnym, c. k. urzędowym głosem:

— Jaśko Pobijak, z pod numeru 67, co bierze? he?

— Chciałbym wziąć dwie książki, mieszkam daleko, nie przyjdę prędko.

— Co? dwie?—burknął pan nauczyciel — najpierw przeczytaj jedną. Znam ja ciebie, znam, nie tęga głowa, o Habsburgu nigdy się nie mógł nauczyć, dość dla ciebie jedna książka... kiepsko czytasz...

— Panie kierowniku — szepczę pokornie, nachylając się, niech mu pan nie broni, niech weźmie dwie...

— Ale on czytać dobrze nie umie... pamięci nie ma...

O! serca pełne kupletów!...

Pan nauczyciel opowiada bardzo żywo o tym Jaśku Pobijaku. Był leniwym uczniem, raz ukradł gołębia synowi nauczyciela.

— Właśnie dlatego trzeba mu dawać książki do czytania, ażeby się oświecał, ażeby się poprawił, ażeby wytepił nałogi.

— Michał Soja! — woła nauczyciel — ty właśnie książki nie powinien dostać, boś ty nicpoń, gębę masz dobrą do gadania, umiesz nawet innych buntować, ale do roboty ciebie niema, nie chciałeś spuszczać wody z łaki szkolnej.

Michał Soja płoni się jak dziewczątka ubożuchne. Na czole mu nabiegają pręgi... oczy patrzają dziwnie...

Jeśli pan nauczyciel jeszcze dalej tak będzie mówić, to chyba stanie się coś okropnego...

— No! masz Soja książkę, ale tylko na tydzień, dłużej nie pozwolę trzymać, a będę pytał z tej książki, leniwy ty chłopie...

W taki sposób odbywało się dalsze rozdanie książek T. S. L. Każda książka oblana była octem, posypana pieprzem i podana z szpilką dobrze kolącą.

Włościanie rozchodzili się przygnębieni i niezniechęceni, bo każdy prawie usłyszał słowa nagany i napominania.

Podziwiałem jednak spokój, z jakim to znoszono.

Gdy wreszcie zostaliśmy, delegaci T. S. L. sami z panem nauczycielem, zaczęliśmy mu przedstawiać i tłumaczyć, iż osobiste sprawy przy wypożyczaniu książek powinny być usunięte, iż do korzystania z biblioteki powinni mieć wszyscy prawo i ci, którzy o Habsbur-

gach w szkole się nie uczyli i ten, który ukradł przed latami gołębia i ci, którzy mają wady i nałogi.

Lecz są serca pełne kupletów.

Nauczyciel ciągle powtarzał:

— Wy państwo ludu nie znacie, wy nie wiecie, wiele on ma strasznych wad, wy myślicie, iż to taki ukochany Benjaminek, a to są draby, złodzieje, gbury...

— Wszakże chcemy dlatego pomagać w szerzeniu oświaty, żeby wytepić wady i nałogi, wszakże gdybyśmy nie widzieli wad, nie bolelibyśmy nad niedolą i krzywdą ludu...

— Jaka krzywda? Co wam panowie śni się o krzywdzie? Chłop panie jeszcze najszczęśliwszy... ma grunt, ma bydło, nie napracuje się, jak my nauczyciele, za tych 60 koron miesięcznie...

— — — — —  
Wracaliśmy do Mroku w mroku ponurych myśli.

Rzekłem też do pani Skierki:

— Zdaje się, że z naszych książek w Lasku będą kaganki nie gwiazdy.

— Jak to pan rozumie?

— W rękę takiego kierownika czytelnicy nie będą one miały ani blasku należytego, ani ciepła serdecznego...

— Trzebaby może jaką bibliotekę przesłać panu nauczycielowi, wtedy jego umysł wypogodzi się i odświeży.

A na to Bicz:

— Rozgrzejecie temu biedakowi serce przede wszystkim, a wtedy i dalsze zmiany pójdą. Spytajcie, kiedy on tu przez 20 lat pracy miał co innego przed sobą, jak troskę o byt i upominanie inspektora?

Przy drodze spotkaliśmy gromadki włościan, wracających ze szkoły. Jedni nieśli książki, czytając już po drodze, inni szli spieszenie z schwyconymi skarbami, a za nimi dążyli drudzy i słychać było pytania:

— Będziesz czytać głośno?

— Mnie jutro pożyczysz?

Szedł i ten biedak, który ongi ukradł gołębia, a idąc czytał dzwięcznym głosem wyraźnie i głośno...

Wjechaliśmy w gęsty las.

Wioska znikła z oczu, lecz myśl jeszcze nad tą szkółką brudną i wioską ubogą krążyła.

— Bywajcie książki tam... — szeptałem w duchu... bywajcie tam książki słońcem, gwiazdami, orłami!... Lećcie i budźcie... uczenie i świećcie... Jedyna droga rozwidnień i oświeceń, droga miłości i wyrozumienia!...

O tak! Wyrozumienia!

Od dwu tygodni jestem na wsi.

Zadowolony jestem, iż przeznaczono mię do regulacyi rzeki, więc mogę zbliżać się do ludu, ale zarazem doznaję niejeden raz wiele bólu.

Jak ogromnie grzeszyliśmy zaniedbywaniem sprawy oświaty wśród ludu!... Jakże srogo zawiniła przeszłość, iż miliony serc pozostała bez opieki i światła!...

A dziś niejednym się zdaje, iż to, co T. S. L. zaczyna działać, jest za szybkie, gorączkowe i za nagłe. Dziś jeszcze niektórzy powiadają:

— Po co tak naglić?... Z wiekowego snu nie obudzi się olbrzym w jednym dziesiątku lat!..

Nie obudzi się, jeśli naród jeszcze będzie w śnie obojętności i lenistwa, jeśli jeszcze będą tacy, którzy wierzą w to, iż jedynie analfabetyzm od socjalizmu uchroni i od strejku zabezpiecza.

Mieszkam tutaj w chacie starego Grzeli. Żona Grzeli z synem pojechała do Sachsw na zarobek. On sobie sam gotuje, sam myje naczynie, sam około chaty się krząta, a w wolnych chwilach rzeźbi ramy, figury i stoliki.

Stary, siwy góral opowiada:

— Byłem panoczku pod Kenigrecem, a góraco było i niemało ludu zginęło. Ja się tam śmierci nie bał, bom ino sobie uważał jak kule lecą. Taka kula, co gra, to śmierci nie

niesie, jeno ta niesie śmierć, co cichuteńko leci koło ucha. Tak, trzeba uważać i oglądać się na ciche kule.

— Jak my w Intalii byli, a do Mantony maszerowali, tak wtedy nasz cisar posłał do tamtego.

— A słyszeli wy co o Polsce? — pytam przerywając.

— Polska? Polska? ta dawniej to chodzili stąd na robotę do Polski, ale teraz chodzą na Sachsy, Jak my w Weronie stali, tak tedy Princ...

— Ale o polskich królach, o polskich wojskach to wy nie słyszeli? — znowu przerywając, zwracam myśl starego górala:

— Gdzieś, niecoś tom słyszał. Raz mój syn przyniósł książkę, co było w niej o Rudolfie, a powiadają, że on nie umarł, żyje, tylko się skrył i on Polskę odbierze.

Spoglądam na starego, siwego górala i pytam się—wiele wysiłku trzeba, ażeby wyzbierać z jego pamięci niepotrzebne plewy, a w duszy wzbudzić poznanie samego siebie, swoich praw i swoich obowiązków.

Nie winien on, iż nic z dziejów macierzy nie poznał, ale winni my, iż za późno i w małej liczbie do posiewu oświaty stajemy.

W drugiej chacie u „spólnicy“ jak tu sąsiadów nazywają, obaczyłem kilka obrazów, przedstawiających pruskich żołnierzy lub je-



nerałów. Wiszą one w równym rzędzie z obrazami „die Heilige Familie“, „Matka Boska Kalwaryjska“, „Keiserliche Familie“ i „Ecce Homo“!

— To moja córka wydała się w Prusiech i tam już mieszka — opowiada Kusiowa, — to ona mi przesyła takie obrazy.

— Pan mówią, że to nie piękne? Dlaczego nie piękne? Za szkłem są, ramy złoczone, porządne obrazy.

— Dlaczego się wydała w Prusach? Tam jeszcze najlepszy zarobek, u nas by ludzie dawno poginęli, gdyby nie zarobek w Saksach. Narodu coraz więcej, ziemi nie przyrosło, ani na stopę, a życie coraz droższe.

— Moje dwie córki są teraz w Saksach, ta starsza zostawiła u mnie troje dzieci, nie było rady, musi zarabiać, bo oni sobie chcą chatę stawiać, a bez Prus „grejcara“ by nie mieli.

— My wiedzieli, że latoś będzie ciężki rok na paszę, bo jak my na wiosnę bydło wyganiaли na paszę, to się nie chytało zielonej trawy, jeno gryzło suche płoty. Wiadoma rzecz, głód to znaczy, tak i na głód przyszło. Wypaliło trawę, jęczmiona na nic, jakby to w Prusiech nie zarabiali, na nędzę by przyszło każdemu.

Kobiecina trzyma na ręku blade, nędzne dziecko, może jednoroczne i wpycha mu w usta brudną szmatę, ażeby płacz stłumić.

Biedne dziecko, od którego matka odjechała, szukając zarobku w Prusach...

A na mnie patrzą z złoconych ram, wstrętne malowidła pruskich żołnierzy, które wiszą w równym szeregu z poświęcanymi obrazami Matki Boskiej i Chrystusa Ukrzyżowanego!...

I budzi się jakiś bunt w głębi mego ducha, jakaś skarga wyrывa się z piersi., dlaczego tak jest, dlaczego tak być może?... Toż siły ludu naszego mają iść tam w pruską służbę i owi dziedzice prastarej Piastów ziemi muszą Prusakom ziemię obrabiać? Wszakże to gorzej niż jasyr tatarski?... Wszak to dobrowolne niewolnicze poddanie się za kawałek chleba i grosz płacony krzyżacką dłonią!...

Wątle, blade dziecko zanosi się od płaczu, Kusiowa ziemniakiem zapycha zsiniałe usta... a nie żal jej wcale, iż matka dziecko zostawiła, wszak za to ma zarobek.

Idę po nad brzeg rzeki.

Gromadka chłopców śpiewa donośnym głosem:

- Jak ja se pojade, za te Wadowice,
- Będą się waliły góry, kamienice.

- Jak ja se pojade dziewczyno za Wiedeń,
- Będzies mnie płakała dziewczyno w koz tydzień.

Korzystając z wolnego dnia, wybrałem się na szczyt jednej z najbliższych gór.

Wchodząc coraz wyżej, coraz szerszy widnokrąg obejmowałem wzrokiem. Okolice wspaniale piękna. Wieleż majestatu w tym falowaniu wzgórz, wieleż kolorytu w smugach ciemnych lasów i rozścielanych niw!... Około pól rozrzucone stopy głazów świadczą najlepiej z jaką cierpliwością i pracowitością lud ten „wyrabiał“ zagony, jak górale nazywają wydobyte z skalnego pokładu kawałki ornej ziemi. Ubogie te kawałki rolnych pól są jeszcze rwane w strzępy podziałami, a z góry patrząc na te skrawki zagonów najlepiej się poznaje ubóstwo ludu naszego. Jak to wyżyć, jak wyżyć tym pomnożonym rzeszom, które nie umieją pomnożyć plonów z ubogich pól, nie umieją pomnożyć wydajności pracy rąk, nie umieją oprzeć się przywarom lenistwa i próżniactwa!!

Jednakże, gdyby tu stanął do pracy rolnik dobrze przygotowany do wydobywania skarbów z niwy ojczystej, przekonalibyśmy się, iż ubóstwo dzisiejsze jest tylko wynikiem ciemnoty i nieporadności.

Nieprzebrane skarby kryją się w tej bujnej chlebobdajnej niwie, ale musi przyjść rolnik z mocą postępu i siłą wiedzy zdolnej ugory zmieniać w bujne łąny.

Gdym patrzył z wierzchołka „Orlicy“ na

rozłożone w dolinach wioski, zdawało mi się, iż widzę snujące się pielgrzymki wychodźców z ojczystej ziemi, iż widzę, jak oni idą pochyleni niedolą, obarczeni niedostatkiem, gnani głodem i nędzą...

Tyle ramion pracujących u Sachsov, tyle sił służących w fabrykach Nowego Jorku, a tu kamieniste pustkowia, owsy liche, pastwiska pokryte kretowiskami i ludzie nie napojeni jasnością wiedzy!...

— O T. S. L!... szeptałem w duchu... ileż na ciebie prac czeka!... Ileż dróg przez tobą się rozwija!.. Wieleż serc zbudzi się za tobą przyjdzie!.. Wszystko, co zostało zapomniane, ty masz przypomnąć, wszystko, co zostało odtrącone, ty masz zbliżyć, wszystko, co zostało spóźnione, ty masz przyspieszyć, co było zziębłe, ty masz rozgrzać, co ciemne rozjaśnić i ten lud obcy masz uczynić bliższym sercom naszym!...

— Jakże wiele trzeba tobie i serc i ludzi i ramion silnych i dusz gorących, ażebyś iść mogło polami, lasami, do chat pukając, do izb rzemieślniczych zbliżając się, do wszystkich w Ojczyźnie mówiąc:

— Przez oświatę do wolności!...

Zaiste!... gdyby wszyscy oświeceni wśród nas zrozumieli, czym jest zespolenie tysięcy, tysięcy jednostek w jedną organizację dążącą do szerzenia oświaty, wtedyby T. S. L.

nie miało ani jednej wsi bez swej opieki i nie byłoby może po chatach obrazów pruskich żołnierzy.

Słońce schyliło się ku zachodowi.

W majestacie królewskiego złota i w blaskach malowanych purpurą, szło ono za ciemny, szpilkowy las i całowało szczyty drzew rąbkami jasnych promieni.

Jak pięknie i uroczyście w takiej chwili!...

Chaty wioski, leżącej nad rzeką zdają się tak małe i niskie, iż wyglądają raczej na zabawki, które się dzieciom na stole rozkłada. Wieleż czasu trzeba, ażeby lud nasz miał mieszkania higieniczne! Wieleż to jeszcze trzeba włożyć pracy w to, ażeby w chatach umiano żyć bez nędzy i dostatku!...

Ah!... szkoły ludowe, szkoły wioskowe pierwszymi ogniami w mroku dusz ludowych padły, lecz jeszcze nie wszędzie pochodnie mają rozłoną. Wiele przyczyn i powodów składa się na to. Szkoły muszą mieć plan i przepisy, lecz powinny znać ogień miłości, nauczycielstwo może mieć serce zziębłe w bólu nędzy, lecz nie wolno mu mieć myśli skarlałej w urzędowaniu ważonem na gramy za podawany grosz...

Promienie słoneczne mieniają się jeszcze fioletowymi odbłaskami... bledną i nikną... Wies okrywa się sinawą mgłą i zdaje się coraz dalszą.

Trzeba wstać i iść.

Iść ku progom tej chaty brudnej i biednej, której gospodarz tylko tyle o Polsce słyszał, iż tam chodzili dawniej za robotą...

Trzeba iść z smutkiem w sercu nad tem, iż tak mało jeszcze zrobiono u nas, ażeby sferom inteligentnym przedstawić prawdziwy obraz życia ludu naszego...

Schodzę zwolna, jak gdybym niósł ciężar na barkach. Zdaje mi się, iż istotnie mam jakiś głaz przygniatający mię.

Nic dziwnego. Jestem wśród chat i poznaję prawdę, nie owijaną złudzeniami!

Pod starą jodłą jeszcze żarzy się niedogaszone ognisko. Znać pastuszek niedawno odszedł. Na kamieniu leży książka szkolna i zeszyt.

Oto ślad cywilizacji. Zapewne tu się pisało zadanie na jutro do szkoły. Ubożuchna książka ze szkoły ludowej, jakże miłe robi wrażenie. Ten chłopczyzna, który siedział przy ognisku z książką w ręku będzie już przeciwieństwo o tem, iż jest Polakiem... są tu przecie ustępy z historii polskiej...

Podnoszę książkę, zeszyt, otwieram kartki.

Czytam i czytam...

W oczach migają mi jakieś ogniste plamy, zdaje mi się, że szpilki właczają się w głębię żreń...

Zadanie domowe — zaczyna się od słów:

— Nasza Monarchia austriacka ma jako stolicę miasto . . . . .

— Straśnie to dobrze na urok „skóra z goda“. Jak jakie złe ocy rzucą urok cy na krowę, cy na konia, cy na inne bydłę, to ino skórą tą podkadzić, w tej minutce zeńdzie.

Sąsiadka opowiada mi o skórze gada, którą Józek znalazł i wspiawszy się na stołku, ostrożnie przybija ją nad drzwiami wchodowymi.

— Ja to muszę jeno przy miesiącku robić, aby ani słonko, ani nikt z spółników nie ujrzał tego. Panocek nie wierzą, zwyczajnie nie znają życia w górach i w lasach, ale my już z dziadów, pradziadów nauceni. Już to wie każdy, że taka casem chwila leci, co nieszczęście chyć w niej łatwo, a tak ludziska się muszą ubezpieczyć przeciw urokom i przeciw złej chwili.

„Skora goda“ przybita gwoździemi nad drzwiami, sąsiadka już jest o wiele spokojniejszą. Żadna z jej kumoszek i pobliskich „spólnic“ nie ma talizmanu nad drzwiami umieszczonego.

I ja na to patrzę i ja słucham gawędy o czarach skóry z gada, a nie mam siły roz-

począć walki i nie wiem jak ostro trzeba ciąć, ażeby siłę nałogów i przesądów wykoźnić.

Kobiecina do szkoły chodziła, zna i pisane i drukowane, do Różańca zapisana, a jednak wieleż w niej jeszcze pogaństwa i wieleż jeszcze analfabetyzmu.

Z świadomością liter, trzeba dawać i świadomość prawdy, oto najważniejszy plan dla szkół ludowych. Z pomiędzy prawd zaś należy wybierać, które są aktualniejsze i potrzebniejsze. Bo i to jest podaną prawdą w szkole, jeżeli się uczy dzieci o dopływach Dunaju lub chronologii Habsburgów. Jednak potrzebniejszą jest może nauka o tem, iż nie „skóra gada“ ustrzeże chatę od choroby, ale czystość, trzeźwość i dobre gospodarstwo.

Chciałem już na ten temat rozpocząć rozmowę z moją sąsiadką, gdy straszny krzyk i płacz rozległ się między chatami.

Rzuciły się w tamtą stronę kobiety, dzieci zaczęły biegnąć i stary Grzela poszedł popatrzeć.

Żdziwiła mię ta wrzawa niezmiernie, bo od trzech tygodni jak tu mieszkam, ani razu kłótni nie slyszalem.

— Cóż się stało? — pytam Grzele.

— A to Kusiowa biła Bronka „porwozem“.

— Tego bladego mizernego Bronka, który śpiewa od rana do wieczora?

— A tego! zbiła go tak, żeśmy go ledwie dotarli — wyjaśnia sąsiadka.

— Ależ za co?

— Nie chce jeść. Ani krztynę nic jeść nie chce — mówi mi Kusiowa drżąca, łzami zalana. — Nie wytrzymała gadzina, proś nie proś, każ nie każ, groź nie groź, on nie chce jeść ani kapusty, ani barszczu, ani „gruli“.

— Dziecko jest wątłe, blade, chorowite, biciem go wszakże nie zmuszajcie do jedzenia, lepiejbyście do doktora poszli.

Co też zrobiłem wzmianką o doktorze?

Musiałem wysłuchać wszystkich skarg litanie, opowiadającą o tem, jak doktorowie nie umieją leczyć, jak nic nie poradzą i t. d. i t. d.

— Chłopiec myśli, że ja go na pańskie życie wezmę, że mu będę „plecionki“ kupowała, a kawę warzyła... W biedzie się urodził, w biedzie niech żyje, błąd jest, bo nie chce jeść po góralsku...

Bronek łkając przyszedł matkę przeprosząc... ona utuliła go i zaniósła się w płacz...

Takimi obrazami karmię mą duszę.

Hej wy złote, świetlane duchy wiedzy i oświaty... jakimi drogami chodzicie, iż jeszcze nad chatami tego ludu, nie zatrzymaliście się ani razu!!

Hej wy jasne, z promieni słońca snute światelka mądrości, czemu wy od progu tu-tejszej szkoły nie rozsnuwacie swych nici

i do serca takiej biednej matki nie przedostajecie się!...

Jakże wiele ci biedni ludzie cierpią sami i drugim wiele cierpień przynoszą dlatego, iż jeszcze ludźmi być nie umieją!...

W Mickiewicza literaturze znalazłem następujące zdanie:

„Był zwyczaj w Polsce, iż w izbie polskiej, zachowywano krzesła dla reprezentantów krain oderwanych, ażeby w kole sejmowem zawsze trwała myśl o całości rzeczypospolitej“.

Czy nie powinniśmy w każdym domu polskim, w każdej rodzinie inteligentnej zachowywać miejsc dla tych braci z ludu, którzy są jakoby oderwani od życia naszego? Czy nie trzeba uczynić coś, ażeby o wieśniakach trwała wśród nas pamięć i myśl, byśmy rozumieli, iż tylko w zjednoczeniu wszystkich serc i dusz narodu tkwi siła i moc przyszłości?

Niestety! Zanadto wiele dowodów mamy na to, iż o zbliżaniu się do ludu nie wielu u nas pamięta, nie wielu pracuje nad szerzeniem oświaty, nie wielu chce słyszeć o tem, iż przez podźwignienie najniższych, podźwiga się i prawo bytu wszystkich warstw i wszystkich klas.

Nie zachowujemy krzesel dla reprezentantów kurnych chat i ciemnych dusz!...

W miejscowościach gdzie najwięcej analfabetów, trudno znaleźć chętnych do zakładania szkółek.

W miejscowościach, gdzie lud umie czytać, trudno znaleźć chętnych, którzyby kierowali czytelniami i wygłaszali odczyty.

W miejscowościach, gdzie lud rozbudzony oświatą zebrze o książki, trudno znaleźć chętnych, którzyby swoje książki chcieli wy dobyć z szaf i na pokarm braciom ofiarowali.

Co wszakże jeszcze dziwniejsze, wśród literatów trudno znaleźć chętnych, którzyby dla ludu pisać chcieli!...

Z dzisiejszych, każdy woli pisać chociażby najbardziej monotonne, modernistyczne romansidła, aniżeli rozsiewać czyste ziarna na pokarm dla dusz chłopskich. Z rozmaitych stron kraju idą wołania o książki dla czytelników ludowych, a tym, którzy mają książki dostarczać ręce opadają i duch ich słabnie w wyszukiwaniu ziarn pośród plew i kąkoli.

Wróciwszy po miesiącu do Mroku, jak do najdroższej kochanki spieszyłem do T. S. L.

Co ja też będę im opowiadał!... Co ja im za plany podam!... Hej! hej!... aż się czoło pali

na samą myśl o tem, ile my wspólnymi siłami zrobić będziemy mogli!

Cóż mogę ja sam — jednostka?

Utonałbym w obszarze niezliczonych prac i obowiązków. Ale gdym wpleciony w Koło, a ono razem z wieloma jednostkami chce działać, wtedy siła pracy potężnieje i czyn idzie za czynem.

A gdy tych Kół będzie 1000, 2000, 3000, toż one stworzą armię zdobywającą światłość i sprawiedliwość!

Spieszę więc do ukochanego T. S. L. i w progę wołam.

— Witajcie! Szczęśliwi ludzie, witajcie!.. Podczas kiedym ja pomiarami był zajęty, kiedym tylko na dobranoc lub dzieńdobry mógł z ludem gawędzić, wyście tu w naszym Kole pracowali wytrwale. Witajcie szczęśliwi ludzie i mówcie, jako żywo mówcie, ileście nowych czytelników założyli, ileście książek posłali do Łasku, jakie w Mroku były odczyty?

Omega zaś na to:

— Zrobiliśmy bardzo mało.

— Ile było można, czy ile było trzeba?

— Ani ile było można, ani ile było trzeba, bo nie zrobiliśmy nic, przez cały miesiąc — nic!

Struchlałem.

— Jakto? Zatrzymaliście Koło T. S. L. w ruchu! Jakto?.. złamaliście skrzydła temu

ptakowi, co z jasnością nad czołem przelata po Polsce?

— Zdaje się kolego, iż bez was nie daleko zajedziemy.

— Bezemnie? Macieź sumienie kpić ze mnie?

— Zebraliśmy się dwa razy na posiedzenie Wydziału, oraz sekcji, ale jakoś było i chłodno i sztywnie.

Na to Rosa żywo.

— Przepalił się pierwszy ogień i już zapła niema.

Oparłem czoło na dłoniach.

Czułem ból głęboko wpity w serce. Bałem się rzec bodaj słowo, ażebym zanadto gorzkich wymówek wyrazami wszystkich nie zranił.

Dopiero po dłuższej chwili pytam udając spokój:

— Więc chcecie na jednostce opierać cały ruch Koła?

— Zdaje się, iż tak bywa. Osią każdego Koła musi być jednostka, ta jednostka, która Koło stwarza, ożywia, rozgrzewa i do czynu prowadzi.

— Zgodzę się na to. Lecz dodam, iż tych jednostek, tworzących oś Koła, powinno być w każdym Kole tyle, wielu jest członków, bo Koło T. S. L. to nie statut i nie rozdanie godności, ale to ogień i czyn. Nie mówcie, iż dlatego zrobiono mało, iż mnie nie było,

nie mówcie, bo sztydziecie i ze mnie i z siebie. Ostygliście panowie i daliście drugim ostygnać, w tem wasza wina. Trzeba czuwać wytrwale nad tem, ażeby temperatura Koła T. S. L. utrzymywała się zawsze wysoko. Zimnymi sercami nie zrobimy nic. Wszyscy członkowie Wydziału i sekcji muszą regularnie schodzić się na posiedzenia tygodniowe, bez tego zaraz następuje oziębienie, a zatem idzie senność.

— Otoż to właśnie, otoż to, iż członkowie przestali schodzić się, mówi Omega. Pani Skierka zniechęciła się, bo szkółkę robót odłożono, pan prezes zajął się miejską gospodarką.

— A Felek?

— Felek chciał urządzić przedstawienie, znalazł za mało amotorów, pani żadna nie chciała wziąć roli...

— Pani Zofia?

— Wyjechała na wypoczynek.

— Były jakie podania?

— O tego nie brakło... O czytelnię, o książki, o wycieczkę dzieci do Krakowa. Dwu nauczycieli prosiło o gazety. Z jednej szkoły nauczycielka wniosła podanie o bibliotekę ruchomą dla nauczycielek.

Wracałem do swego mieszkania z pochyloną głową.

Mój ptak jasnoskrzydły zdaje się już pod-

skubane ma lotki. Ale skrzydła jeszcze nie złamane, o nie!

T. S. L. w locie nie nie ustanie. Wiem, czuję, rozumiem, ale trzeba wyteńczyć sił wiele, by szybszym tętnem serce w nim uderzało.

Pół roku minęło.

Już oto jesień, przyszła upowita w mgły wilgotne i już odleciały ptaszak gromady.

Senne oko słońca zapada coraz wcześniej za wzgórze odległe. W Mroku zaczynają świecić latarnie, a to jest najlepszym dowodem, iż się długie jesienne noce zbliżyły.

Dla mnie, co wieczora jest jedna tylko droga. Na Podkamień do czytelnicy.

Koło T. S. L. nie stało w ruchu jak przepowiadali nie jedni.

Czytelnia na przedmieściu otwarta już od miesiąca.

I rzemieślnicy i robotnicy uczęszczają do czytelnicy dość licznie, lecz tworzą zawsze dwa oddzielne obozy.

Rzemieślnik jest arystokratą wyniosłym wobec robotnika, ten zaś nie stępi ostrości swoich słów, gdy o „majstrach“ się wyraża.

Gazety są rozrywane i o wiele więcej mają popytu jak książki.

Lecz robotnicy rwą się do innych gazet, rzemieślnicy do innych.

Sienkiewicz zajmuje pierwsze miejsce w książkach, poezye najmniej mają zwolenników

Lecz zawsze pewne „ale“.

Mimo, iż sekcyja prelegentów składa się z 8-miu ludzi, iż program odczytów i pogadanek układany bywa starannie, iż uproszeni panowie przyrzekają brać udział, mimo to wszystko odczyty w naszej czytelnicy chromają, a do dziś tylko nas dwu cośkolwiek w tym kierunku zrobiło. Ja i Bicz. Lecz ja nie mogę co wieczora przemawiać. Ja nie jestem encyklopedyą żywą i jako technik nie potrafię mówić o higienie, o historii, o ekonomii, a choćby nawet o Mickiewiczu lub o Księdzu Marku!

Taka to nieszczęsna nasza wada, przyrzekać i nie dotrzymać.

Ażebym i kobiety z przedmieścia Mroku ko-rzystały z oświaty, postanowiliśmy w każdą środę urządzać w czytelnicy zebrania towarzyskie dla rodzin i rzemieślniczych i robotniczych.

Plan był bardzo ładny.

Jakiś śpiew, muzyka, deklamacyja, pogadanka lub odczyt...

Biegnę, proszę, błagam pannę S.

— Niech Pani będzie łaskawa dziś zagrać w czytelnicy.

— W czytelnicy? dla kogo?



— Jakto dla kogo? Przyjdą mieszkańcy z Podkamienia, spracowani, zmęczeni ludzie, dla nich to jak balsam muzyka piękna.

Spojrzała na mnie groźnie.

— Proszę Pana!

— Jakto? miałażby Pani serce odmówić?

Wyszedłem zły i obrażony. Odmówiła.

Idę do pani B. Osoba to bardzo postępową i demokratka.

— Niech Pani będzie łaskawa zagrać dziś parę kawałków w czytelni T. S. L. Muzyka ma ogromny wpływ, muzyka łagodzi, koi, pociesza, wyszlachetnia, wszak Pani najlepiej to wie, bo Pani tak muzykę kocha.

— Czy tam dziś jakaś rocznica narodowa będzie święcona?

— Nie! zwykle zebranie dla rodzin ubogich rzemieślników, takbym chciał, ażebyśmy się zbliżali jedni do drugich, ażebyśmy nie znali kast, owych egipskich kast, oddzielających ludzi od ludzi...

— Pan to wszystko ładnie maluje, ale wy wykonanie nie jest możliwe. Czyżby o mnie nie mówiono w Mroku, gdybym tam grała.

— Pani to mówi?

— I Pan żąda tego odemnie?

Tak chodziłem dzień cały i z niczem przyszedłem do czytelni.

Lecz słyszę, muzyka. I to wcale dobra.

Cóżby się stało?.. Zaliżby jak u Piasta tak

u mnie w tej czytelni T. S. L. jacy aniołowie z arfami przyszli?

Wchodzę. To gra poczciwy Karol, młody nauczyciel, niedawno do Mroku przeniesiony.

W sali wiele osób. Panie majstrowe, panny majstrówny, kilka panienek od szycia... Twarze ich są roz pogodzone, zadowolone, muzyka ogromnie cieszy.

Odczyt o Poznaniu podobał się.

Wieczór przeszedł bardzo przyjemnie.

Lecz ja czułem ciągle gorycz piołunową w duszy.

Mówię wracając do domu z Omega:

— Widzisz! żadna z pań nie raczyła przybyć na zebranie. Do T. S. L. należą, to znaczy płacą 2 korony rocznie, ale poza ofiarą dwu koron nie chcą dać nic więcej, nic, ani nawet takiej drobiny, ażeby przyjść i zbliżyć się do spracowanych.

— Dlaczego ci tak wiele na tem zależy?

— Idzie mi o to, ażeby przełamać lody, ażeby zaznaczyć, iż przestaliśmy stronić od tych ludzi jak od zapowietrzonych, ażeby udowodnić, iż nie patrzymy na pracujących jak na dzikich z południowej Afryki, ażeby i te piękne nasze salonowe boginki przypatrzyły się, jak wyglądają ci od kielni i młotów, którzy w Kole T. S. L. są już dla nas braćmi.

— Zasada dobra, ale wykonanie trudne. Przyznasz sam, iż takiej pani wychowanej

zdala od sfer „niższych“ przywykłej do salonów, glansowanych rękawiczek, szlifowanych paznokci...

— Otóż to! Otóż to! Otóż to — przerywam z niecierpliwością — otóż to, iż my, inteligentna, przywykamy do ścian salonu i ludzi jednego świata, a Ojczyzna nie obejmuje tylko pałaców i nie ma tylko wychuchanych w szeregu swoich dzieci. Trzeba zejść z schodów wyścielanych dywanami i iść do mrocznych izb, do kurnych chat, do tych progów, nad którymi się jeszcze przybija skórę z gada i trzeba tam nieść światło.

Omega zapala papierosa, przystając pod latarnią.

Jesienny wiatr rzuca kroplami deszczu.

— Proszę ciebie! mówię dalej, małoż to jest u nas pań, które uczą się pilnie, wytrwale, zdowrywają wiele z skarbów wiedzy, a wszystko to razem wzięwszy noszą na sobie jak szatę modną, w której im ładnie, ale z której nic i nie drugim dać nie chcą czy nie mogą. Cóż za korzyść z tego, iż ta lub owa panna ukończyła pensję, gimnazyum, złożyła maturę, uczęszczała na uniwersytet? Bardzo mądra i uczona główka, ale serce jakieś dziwnie zimne. Ona się tem cieszy i chlubi tem, iż mądrzejsza od innych, ale nie ma pragnienia serdecznego, by innych oświecać, poprawiać, podnosić i rozbudzać. Uczą się i uczą

grać po 10, 12, 15 lat a potem przyjdź i poproś, by raczyła zagrać w czytelni T. S. L. to spojrz na ciebie jak na szaleńca. Jak można żądać ofiary!

— Dobranoc!..

— Dobranoc!.. Br... jaki wiatr ostry!

Kowalowa chata, poczciwa chata, która ma komin i otwierane okna, miała jedną, wielką, nieuleczalną wadę.

Była za ciasna!..

„Pisarzów“ brat nie mógł dać rady z zgłaszającymi się uczniami, więc przyszło pismo do „Wielmożnego T. S. L.“, ażeby Świetna c. k. komisya zjechała i szkółkę obaczyła.

Zjechała więc Świetna komisya w osobie mojej, która miała zastępować i prezesa i wiceprezesa i skarbnika i trzech wydziałowych, to jest tych wszystkich, którzy obiecali pojechać. Ale gdy furmanka stanęła przed domem, pospywały się bileciki usprawiedliwiające.

Pojechałem sam.

Szkółka była pełna jak ul, gdym wszedł. Między dzieciakami 8 letnimi sterczały głowy parobczaków może 16 letnich. Czterech zaś było starszych gospodarzy. Z dziewcząt starszych ani jednej.

„Pisarzów“ brat właśnie pisał na tablicy duże L, gdy stanąłem w progu.



— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! — gruchnęła mi gromadka i dalejże cisnąć się, ażeby mię po rękach całować.

— Dajcie pokój! dajcie pokój! Ja nie ksiądz!

Uciszyło się jako tako. Siedli w ławkach i jako łan płowych kłosów zbiły się główki razem, a oczęta wszystkie pełne zaciekawienia zwróciły się ku mnie.

— Ktoś ty jest i dlaczegoś tu przyszedł? zdawały się pytać te dziecięce oczka, dla których surdut długi i „pon“ z miasta są czemś obcem i niezwykłym.

— Któm ja jest, odpowiedzieć bym rad rzeszy płowych główek, jestem wasz brat i przyjaciel, ale wy tego nie możecie pojąć, jak można być bratem waszym, gdy się nie mieszka we wsi, nie nosi guni, nie dźwiga kamieni przy „wyrabianiu“ pola, nie śpiewa Różańca razem z wami w kościele.

Kiedys jednak przyjdzie czas, w którym poznacie, iż braćmi są i ci, co w dusznych miastach pracują, ci którzy inne mają formy i zwyczaje, ale serce takie same jak wy.

„Pisarzów“ brat nieco zmieszany tą wizytacją pana delegata zaczyna popis.

— Czytaj Jasiek z pod młyna, czytaj!

Pucułowaty Jasiek czerwieni się jak mak, czyta z elementarza wcale dobrze, a każde słowo wygłoszone zdaje mi się jest jakoby początkiem zasadniczych prawd.

— Lipy są drzewa rozło... rozło... zyste... — dzwoni głosik Jaśka z pod młyna.

— Lilija ma kwiat biały — wymawia głośno Zośka Sojkówna.

I tak dalej idzie lekcya, litery mówią, dzwonią, grają śpiewają litery są żywymi istotami, otwierają zaczarowanych światów przestrzenie, prowadzą dzieci dalej, dalej, kowalowa chata jest pałacem przebogatym i „pisarzów“ brat nie jest takim nieudolnym pracownikiem jak sądzono. Zapewne! Gdyby tu na wizytację przybył doświadczony pedagog, odkryłby wiele omyłek, ale dla mnie, godzina tam spędzona zdawała się najmilszym popisem.

— Więc jakże ciebie T. S. L. nie kochać, szepce sobie w duchu, jakże tobie nie pomagać, jakże za tobą myślą nie spieszyć, kiedys ty wybrało drogę najmilszą sercu polskiemu, drogę opieki nad najbiedniejszymi dziećmi Ojczyzny!

— Więc jakże nie nosić z tryumfem odznaki tych skromnych trzech liter T. S. L., kiedys oto zwycięstwem się chlubić możemy. Czytaj! Czytaj! w tej wsi, w której nikt czytać nie umiał!

Tak zdawało mi się, iż dźwięk wymawianych wyrazów z elementarza poza ściany kowalowej chaty doleci dalej i może do ucha niejednej tej osoby dostanie się, która na cele naszego Koła złożyła datek.

— Czytamy! dzwonić będzie wieść radosną i może niejedno serce radością rozpali.

Gdy godzina nauki minęła, zeszli się radni i pan naczelnik, ażeby obmyśleć plan budowy szkoły.

— Myby radzi, bardzobyśmy radzi, tłumaczy pan naczelnik gminny, ale gmina biedna. ciężkie roki były, powypalało, powysuszało, naród ledwie przeżył.

— Jeszcze tyle nam podatku przyłożyli na tę Radę Powiatową, dodaje radny, wybudowali tam w mieście Panie Święty kamienicę, na tę kasę powiatową, że byłoby z tego szkół dziesięć, a nam nikt ani cegły na szkołę nie da.

— Myby grunt dali, jest tu gminnego kawałek, przy moście koło młyna przy dyabelskim, ale na szkołę, to się nikt bać nie będzie.

— Jakto przy dyabelskim?

— Niby to u nas nazywają, koło młyna, dyabelski most, bo tam straszy i zwodzi, zwyczajnie błąd tam jest, ale to w nocy, to szkoła stać może, bo dzieci jeno we dnie w szkole.

— Drzewa u was dość, moglibyście zwieźć na szkołę.

— Drzewo syćko rządowe, te lasy, tartaki, piły, syćko rządowe. My mamy niby gminnego 200 morgów, ale to wyrabane, do szczętu wyrabane. U nas drzewo drogie, my by ra-

dzi, ale nie mamy za co kupić. My pisali i do Namiestnictwa i do Wydziału o szkołę, bo strasznie źle w Prusach na robocie jak czytania nie zna, ale nam odpisali, że nasza gmina ma niby dzieci przedzielone do szkoły do Górki. A tam proszę pana więcej jak trzy ćwierci mili, jak zawieją śniegi, tak się dzieci nie dokopią górami, dołami.

Po długich wywodach dowiedziałem się wreszcie tyle, iż gmina da grunt przy „dyabelskim moście“, da robocizny trochę, a drzewo i majstrów musimy dać my, to znaczy nasze Koło.

Pożegnałem włościan, kowalową chatę, „pi-sarzowego“ brata i wracałem uradowany.

W oczach migwały mi jasne, płocze główki, pochylone nad elementarzami.

Cały wydział zgodził się na projekt budowy szkoły w Brzegu, ale skąd mają być zebrane na ten cel pieniądze, nie łatwo było odpowiedzieć.

— Urządźmy szereg odczytów — radzi pani Skierka.

— Raut, tombolę i koncert — radzi panna Nuta.

— Wydać jednodniówkę, uprosić literatów o artykuły — znów rzuca myśl Omega.

Wtedy ja:

— A gdyby spróbować kwestę po domach na budowę szkoły, wprost, szczerze, otwar-

cie, bez żadnych obston i bez żadnych ce-regieli. Czy cel sam za sobą nie przemawia? Czy nie znajdziemy tu w Mroku tysiąc lu-dzi, którzyby dali po 3 korony na szkołę?

— Co? 1000 ludzi?... nie znajdziesz pan nawet stu — odpowiada prezes.

— Co stu? 50 nie znajdziesz pan — jesz-cze lepiej rozczarowaniem sypie Bicz.

A Felek pieczętuje z powagą:

— Dziesięciu nie znajdziesz poza wydziałem.

— Jakże gdzieindziej Koła T. S. L. bu-dują szkoły, zakładają czytelnie, urządzają kursa dla analfabetów, wycieczki włościąńskie i zbierają na to wszystko pieniądze!...

— Zbieranie pieniędzy, choćby na cel tak ważny, jak walka z analfabetyzmem musi od-bywać się zawsze pośrednio. Nasza publicz-ność nie lubi rzucać grosza wprost na tacę, bez otrzymania za to jakiejś rozrywki.

— Idź po domach i proś o 3 korony na budowę szkoły, wrócisz z niczem. Zaproś tych samych ludzi na raut i tombole, wydadzą po 10—15 koron i będą zadowolnieni.

Felek mówi prawdę, ja wiem, nie mogę tego zaprzeczyć, a jednak radbym przekonać społeczeństwo, iż powinno być inaczej.

Narada toczy się długo.

— Ponieważ jest to adwent, najlepsza pora na raut i tombole — radzi pani Skierka. — Teraz się panny nudzą, teatr przejezdnego

niema, trzeba ułożyć program szumny i se-cesyjną dać nazwę, przyjdą tłumy.

Więc zdecydowano.

— Wyobrażam sobie wiele to będzie pracy, trudu, wysiłku i kłopotu zanim ten raut się skleci, a już widzę naprzód, jaką olbrzymią sumę pożrą wydatki.

— Czy nie byłoby lepiej użyć tyle sił i prac na bezpośrednie cele oświatowe? Czy my nie moglibyśmy się obejść bez rautów i nie pedagogicznych tomboli?... — pytam panią Skierkę przy pożegnaniu, lecz ona z powagą doświadczonej osoby odrzecz-e:

— Znudzona publiczność chce rozrywek, a panny i panie lubią się „pokazywać“.

— Dlaczego pani nie jest znudzona?

— Mało jest tak szczęśliwych jak ja, którą nauczono pracować dla innych.

Takich Skierek więcej, o więcej, a będzie jaśniej i wśród nas i wśród ludu!

To prawda, iż mało jest takich Skierek.

— Straciłeś łaskę u pań — mówi Felek, gdyśmy byli na „fixie“ u mecenasa. — Uwa-żam dobrze, iż panna Nuta przestała cię ko-kietować. Wczoraj nawet powiedziała do mnie: Inżynier zakochał się w T. L. S. i już nikogo nie widzi.

— Owszem, widzę wielu, ale tych, którzy chcą w T. S. L. pracować.

— Chciałbyś wszystkich zaasenterować do szeregu i branżę przeprowadzić bezlitosną.

— Mamy długi do spłacania, ogromne, ciężkie długi za setki lat, więc do takiej spłaty potrzeba zasobu niemałego. Wysiłki jednostek nie starczą.

— Wszystko to bardzo ładne co mówisz, ale ludziska nie dają się nakręcać jak maszyny, nie wzbudzisz odrazu w wszystkich sercach takich uczuć dla ludu i oświaty jak sam posiadasz...

— Bo wy jesteście samolubami i siebie stawiacie za cel wszystkich prac i dążeń...

— Kto wy?...

— Filary rautów, fixów, balów i — nudów...  
Weszła pani dyrektorowa z córkami.

Woń perfum, szelest jedwabi, ukłony i uściski rąk, szmer poruszanych foteli, kilka pytań i odpowiedzi, a potem znów cicha, maskowana nuda.

Panna Nuta spojrzała łaskawie i wskazała obok siebie krzesło.

Bez zaprzeczenia jest to buzia ładna, oczy wyraziste, figura zgrabna.

Ale podobałaby się lepiej, gdyby raczyła wejść do naszej czytelnicy w Podkamieniu i tam wniosła trochę życia z świata piękna i estetyki, ona tak pięknie gra...

— Tak dawno pan u nas nie był...  
— Bywam w T. S. L. codziennie i w czytelnicy.  
— O wiem! wiem!... słyszymy o tem.  
— Dlaczego pani nie łaskawa odwiedzić naszej czytelnicy?...

— Jakto, bywają tam jakieś rauty, wieczornice?

— Tam są wieczory codzienne, szare, monotonne, dla których potrzeba czegoś jasnego, pięknego, niosącego harmonię, rozpalającego uczucia podniosłe...

— Zbierają się? czytają?...

— Przychodzą z warsztatów, z dusznych izb, z kuźni i pracowni ubogich, a są to ludzie, którzy mają duszę zdolną żyć pięknem, lecz nierozbudzoną.

— Pięknie pan rysuje ten obraz, ale ja nie mogę sobie wyobrazić, jakbym tam wyglądała, cobym tam robiła, jeszcze gdyby jaki wieczorek, obchód narodowy...

— Tak jak pani, sądzi u nas bardzo wielu. Zdaje im się, iż tylko w jakieś wielkie święto, w jakieś uroczyste rano można zejść do ludzi, którzy pracują ciężko i mozolnie. Niby gwiazdy spadające, raz na kilka miesięcy raczą zjawić się wśród ludu miejskiego jacyś dostojnicy z świata wiedzy i myśli, jakieś boginki z salonów i wygodnych buduarów... a potem to się nazywa miłością narodu i służbą dla Ojczyzny...

Panna Nuta odsunęła się trochę i patrzyła na mnie przełęczniona...

— Jaki pan gorzki! — wyszeptwała cicho.

— Nie ja gorzki, ale życie to nasze społeczne, zimne, kastowe, samolubne, to życie, które dzieli nas jeszcze na wyższych i niższych, na znanych i nie znanych. Dlaczego my mamy tworzyć osobne kółka i zasklepić się w nich jak ślimaki w swoich skorupkach?

— Bo przecież są ogromne różnice między nami a niemi.

— Między kim, niech pani powie wyraźnie.

— Między rzemieślnikami, robotnikami...

— Wszak wierzy pani w to, iż tamci z suterenu i izb ciemnych i od hebla i od igły mają tak samo duszę, serce jak my... Więc różnicy co do tematu niema. Jest różnica co do wykształcenia i wychowania, a do tego dążyć powinniśmy, byśmy zatarli różnicę tę, co jak blizna kaleczy.

— Kiedyż to przyjdzie? Kiedy?...

— Gdy rozpoczniemy pracować nad oświatą.

— Gdyby to było łatwo...

— Łatwo, niezmiernie łatwo, tylko niech pani zacznie... raz wejść do czytelnicy, przeczytać im głośno coś z Mickiewicza, zagrać Ogińskiego...

Uśmiechnęła się słodko.

Zdawało mi się nawet, nachyliła się ku mnie jak gdyby chciała rzec: „dobrze“...

Ach! jak wydała mi się piękną w tej chwili i jak cieszyłem się, iż zrozumiała mnie...

— Panno Nuto!... czy dobrze? — pochylałam się, lecz Bicz stał tuż obok i szepce:

— Przyszli z czytelnicy...

— Co się stało?...

— Nie wiem. Prosił, ażebyś tam przyszedł natychmiast.

Wymknąłem się niepostrzeżenie i za chwilę już stałem u progu czytelnicy.

Gwar wielu podniesionych głosów strwożył mnie.

Czyżby jakie spory?... Dotychczas zawsze spokojnie zachowywali się ci biedni ludzie.

Zdjąłem palto, wchodzę...

Na sali dwa obozy, stojące naprzeciw siebie.

Kramczyk, czeladnik szewski, mówi głośno, wymachując rękoma:

— Nie pozwolę obrażać T. S. L... nie dla agitacyi wyborczej ono rozpoczęło pracować, nie dla głosów ci ludzie przychodzą do nas.

— Skąd takie jakieś ukochanie nagłe? — pyta jeden z czeladników.

— A jakże!... Niby tak dla naszych pięknych oczu i dla naszych głosików miłych przychodzą ci i owi na wieczorne zebrania...

— Tak samo w T. S. L. w Gromie zaczęli pracować, a pokazało się, że nie dla oświaty, ale dla zebrania podpisów...

— Odebrać mu głos!

— Wolność głosu! Niech mówi!...

— Jak mu tu źle, niech idzie!...

— Proszę o głos! — zawołałem i przysunąłem się bliżej. Nie wiem jeszcze nad czym toczy się dyskusja, lecz usłyszawszy jedno zdanie muszę na nie odpowiedzieć: — Ktoś tu zawołał: Komu źle w T. S. L. niech idzie... Ja przeciwnie powiem: Komu źle niech stara się pomódz w pracy tak, aby było dobrze i jemu i wszystkim...

— Brawo!...

— Doskonale!...

— Nie przeszkadzać!...

— Myśmy dotychczas tem grzeszyli, żeśmy odsuwali od wspólnej pracy i wspólnych obowiązków i tych i tamtych. T. S. L. właśnie ma wytknięty cel, jeden dla wszystkich wspólny: oświata i dążenie naprzód!... Kto uważa, iż źle robimy, niech pomoże zrobić dobrze. Kto nie wierzy w sam cel oświatowy i szuka innego celu, jakiejś agitacji lub zamiarów osobistych, niech da dowody, iż tak jest. Owszem, wymiana zdań, myśli, poglądów, jest bardzo pożyteczna, proszę wypowiadać śmiało zdania, ale spokojnie. Dlaczegoż ma być zaraz tak, jak bywało ongi na sejmikach, gdzie się szlachta za łby brała?...

Uśmiech przebiegł po wielu ustach... Burza została przerwana.

Jeszcze ci i owi zabierali głos. Dowiedzia-

łem się, iż niezgodę wniósł nowo przybyły czeladnik Wąs, który wyśmiewał naiwnie obecnych... i ufność ich w T. S. L.

Po chwili odprowadza mię Karol do okna i mówi:

— Posłałem po pana, bo bałem się, ażeby do bójki nie przyszło. Tak już było gorąco, iż myślałem, że za łby się wezmą.

— Dotychczas zawsze był spokój.

— Tak, jak pan jest w czytelnii. Zabrakło pana jeden raz, pokazało się co jest.

— Nie trzeba było drażnić tego Wąsa, nie trzeba go zrażać, gdy się przekona jak T. S. L. pracuje, zmieni zdanie.

— Zaczynają tu niektórzy macić wodę. Są tacy, którzyby chcieli pracę oświatową zaprzęgnąć do swojego młyna, rozumie pan?...

Przesiedziałem do późna w czytelnii, lecz pogodnego nastroju nie wyniosłem.

— Gdyby to była praca łatwa, dziesięćkroć więcej ludzi przy niej by stało — mówi pani Zofia, widząc mój smutek — gdyby ta praca oświatowa była tak łatwa, nie mielibyśmy tak mało ludzi przygotowanych do życia i do spełniania obowiązków.

— Kobiety lepiej umieją wytrwać — odpowiadam z zazdrością. — Czy też może ich praca jest łatwiejsza.



Pani Zofia porządkuje zbierane książki dla czytelní naszego Koła i odkłada wiele na ten stolik, na którym „nieużyteczne“ leżą.

— Mylisz się, mój panie inżynierze. Ani kobiet praca nie jest lżejsza, ani one lepiej nie umieją pracować, tylko więcej jest u nich „wrozumiałości“, a w tem tkwi źródło mocy. Już od dawna to spostrzegam, zapaleńcami stają się ci panowie, którzy poznają nędzę ciemnoty naszej. Poznawszy — radziby w jednym roku wszystko i wszystkich nastroić do harmonijnego czynu. Każda przeszkoda rani i kaleczy. Cierpliwie mój Jašku! cierpliwie!...

— Gdy się dach pali, trudno cierpliwie czekać...

— Ależ społeczeństwa się nie nagina do pracy oświatowej na rozkaz, na wołanie, na komendę. My, inteligencja, my oświeceni, także musimy przejść przez szkołę doświadczenia i nauczyć się, jak pracy innych pomagać. Sądzisz, iż gdyby do czytelní w Podkamieniu raczyli i ci i owi przychodzić jako pomocnicy, byłoby to dla samej pracy bardzo korzystnem? U nas są takie różnice pojęć, takie odmienne punkty widzenia, tyle u nas odcieni i stopni wykształcenia, iż nie możemy z spokojem każdego wprowadzać, mówiąc: — bądź siewcą!... Popatrz!.. Na kwestę książkową zebrano wiele. Czyż jednak

wszystko pójść może do czytelní?... Książka i książka, to dwa bieguny i dwie sprzeczności. Wierz doświadczeniu nauczycielki, która długo pracowała. Wiele ludzi ocenia książkę z tytułu, wielu wabi książka tem, iż omawia temat bardzo ważny, ale w ocenie książki nie temat powinien wygrywać, lecz sposób ujęcia i działanie to, jakie z książki rozlewa się na czytelników. Najlepszy dowód, jak my ludu nie znamy jest właśnie oto w książkach darowanych dla ludu. Popatrz panie inżynierze, popatrz... jakie książki: — są tłumaczenia, dodatki dawane do dzienników, Heine, Dumas, są partyjne i agitacyjne broszury...

Przerzucam stos książek i sam sobie nie wierzę. Zaprawdę! Marnie byśmy wyglądali, spiesząc do czytelní wioskowej, gdybyśmy takie skarby wieść mieli.

— Niejeden raz przekonałam się — mówi pani Zofia — iż książki trzeba kupować. Chociaż — chociaż...

Zamyśliła się i przerwała.

— Czy i kupno książek nie łatwe?

— Bogata nasza literatura nie posiada wyborowych dzieł dla ludu, zwłaszcza dla I i II-go stopnia biblioteki wiejskiej. Z poprzednich pracowników nie wielu pisało myśląc o tem, iż dzieła jego będą przy kołowrotku czytane. A dzisiaj, terazniejsi nie

wiele o czytelnikach wśród wsi pamiętają... Nie zachowujemy miejsc dla reprezentantów chat najuboższych... nie piszemy i nie wydajemy dzieł dla ludu, a brak odpowiednich i dobrych ksiąg pracę utrudnia.

— Więc aż tyle pani wybrała dla czytelników? tyle? osiemnaście, 26, 34 książek wobec ogromnego stosu odrzuconych?...

Przeglądam książki i gniewu chmurę mam na czole.

— Dlaczego ci ludzie dawali to, co im zawadzało, to, co i dla nich nie miało wartości?...

— Bo ludzie ów wyraz „lud“ tłumaczą sobie rozmaicie, jedni za wysoko, drudzy za nisko. Jedni go czytają przez różowe szkła, a drudzy piszą zanadto czarnym atramentem...

— Nie znając ludu, jakże mogą go kochać i szanować.

Pani Zofia podsuwa przed me oczy otwartą książkę i wskazuje na podkreślone słowa...

— Zwykle to słabostki cecha, nie owładnąwszy sobą samym chcieć drugimi władać.

— To Krasieński?...

— Tak!... On, arystokrata z krwi i kości, w listach do dzieci wiele wzniosłych myśli wypowiadał, on też rzekł: „To jedno tylko żyje — trwa i wzrasta, co przez Lud odżywia się w indywidualnych znakomitych, a przez indywidualia te prowadzi — Lud.

Czarnobrewka z Zalesia cudny liścik napisała do pani Zofii.

— Czasem zdaje mi się, iż T. S. L. jako anioł cichy idzie po obszarach ziemi, puka do okienek chaty i nadśłuchuje, ażeby każdy szepot chłopskiej duszy posłyszeć, ażeby jęk każdej skargi chwycić i wielkim sercem rzucić na szalę... pamięci.

— Czasem zdaje mi się, że T. S. L. jako muzyk stroi ludzkich uczuć struny i chce doprowadzić do tego, ażeby jednego tonu rozdzwieku nie było.

— Czasem mi się zdaje, iż T. S. L... to prządka owa, co z jasnej kądzieli nici srebrne snuje, a rozsiewając je po błoniach, pastwiskach, ugorach, wszędy nasze chłopskie dzieci zbiera jako koraliki owe, na których się Polska o przyszłość wolną modli...

— Ja zaś jako taka najuboższa pracownica, do T. S. L. serce i myśl zwracam w każde rano i czekam, co dzień na wieść ową radosną, którą witam z zachwytem, czytając na szpaltach dziennika: „Tam czytelnia — tu ochrona, tam odczyt, tu przedstawienie, tam szkoła, tu kursa początkowe“... i znowu pytam:

— Czy to nie anioł cichy, który idzie po obszarach, do okienek puka i nadśłuchuje?...

Afiszę nasze są już po rogach ulic porozlepiane.

Przechadzam się i śledzę, jakie one robią wrażenie.

### Na budowę szkoły w Brzegach

Koło T. S. L. w Mroku  
urządza raut.

— T. S. L.?... czyta ten i ów i pyta kolegę, co znaczą tajemnicze litery.

— Na szkołę w Brzegach? — woła inny... proszę! proszę! czego się już to ludziom nie zachciewa!...

— Mają też gdzie szkołę budować? Takim drabom, pijakom, próżniakom, którzy do Prus jeżdżą, jeszcze szkołę budować?...

— Raut! raut!... — woła podłotek różowy jak malina... — Mamo! w jakiej ja sukience pójde?

— Będą fanty, to dobrze, ale cóż kiedy wstęp drogi...

— Na szkoły i na szkoły wołają teraz bez końca jakby nie dosyć tych szkół było...

Tak się zdania mieniły i głosy rozmaite dzwoniły...

Jak na mękach stałem, podsłuchując jakie wrażenie nasze afisze wywołują... Zdawało mi się chwilami, iż będę stał tu na straży i będę wszystkim tłumaczył, wyjaśniał naj-

elementarniejsze dawał wiadomości, ażeby pojęli i zrozumieli, iż właśnie tam, gdzie najczęściej pijaków, próżniaków i pełnych win, tam najprędzej szkołę budować trzeba.

Zdawało mi się chwilami, iż pocznę razem z afiszami wołać na przechodniów:

— Na szkoły! na szkoły trzeba ofiary...

Zdawało mi się, iż po za tymi afiszami ukrytych dzieci stoją gromadki i proszą płacziwym głosem...

— Dajcie nam szkoły!...

Ale huk, wrzawa, handel, kokieterya, obłuda i samolubstwo te wszystkie wołania zagłuszały. Ludzie szli myśląc o sobie, o swoich sprawach, o swoich zamiarach.

Cóż tam tej lub owej jednostce powie T. S. L. o pracy rozpaczonej, kiedy ta lub owa jednostka ma w myśli kapelusza z koguciami piórami lub całą swą istotą wpiła się w zwój materyi, przez okno wystawy do niej mówiącej i po za marzeniem o sukni z tej materyi nic nie obaczy i niczego nie usłyszy.

Afiszę wołają!

— Na szkoły dajcie!...

A ludzie ani pytają, ani się potroszczą o to, jakich nam szkół potrzeba. Jakich planów, jakich nauczycieli, wielkich duchem i sercem i wiedzą!...

Gdyby społeczeństwo zrozumiało, czem są szkoły w pracy odradzającej naród, nie liczo-

noby u nas wiele jednostek stwarza liczbę członków T. S. L., lecz by liczbę nieczłonków tak powtarzano, jak się powtarza liczbę analfabetów.

Nasze Koło w Mroku wzywa mieszkańców do zabawy, ażeby z tego zebrać procent mały na szkołę. A inne Koła po kraju wołają tak samo: Na szkoły! na oświatę! na podźwignięcie z ciemnoty...

I dziwią się ludzie, dlaczego tyle wołania, dlaczego taki pośpiech, czemu tyle prac rozpoczętych...

Hej! hej! jakimby my poszli pługiem po kraju, gdybyśmy nie musieli tak mozolnie o datki żebrać!...

Z rogów ulic śmieją się do mnie ogromne czerwone litery składające słowo „raut“, a ja widzę w kowalowej, ciasnej chacie, jasne główki, płowe, pochylone nad książkami i słyszczą jak to i owo dziecko zbierając trzy litery w jedną zgłoskę, śpiewającym głosem wymawia:

— Kto ty jesteś!? Polak mały!...

Tak Polaku!... Twoja pierwsza służba narodowa — szkolna ławka. Lecz nasza służba w T. S. L... tobie tę szkołę dać.

Ublagałem w kasie T. S. L. 100 koron na bibliotekę w Zalesiu i pojechałem z książkami

do szkoły, która raz po raz przypominała swą prośbę.

Pojechałem i wróciłem jak złamany.

Wszystko to, co my dotychczas zrobiliśmy w T. S. L., to jest zero, ogromne zero, wobec tego, co robi ta czarnobrewka, nauczycielka w Zalesiu...

Trzeba być dopiero w takiej szkółce jak tam, ażeby zrozumieć czem jest szkoła ludowa.

Ci, którzy nigdy nie zetknęli się z taką pracą, co jak źródło przepływa przez serce pacholąt, sądzą, iż szkoła ludowa to kuźnia, w której kuje się alfabet, sylaby, zgłoski, dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie, a przytem wkłada się pióro w rękę i uczy pisanie.

Nikt ostatecznie nie zaprzeczy, iż i takie kuźnie-szkoły bywają.

Lecz są inne. Akademie narodowe, uniwersytety wiejskie, świątynie pełne natchnienia i są takie szkoły — matule dobre i ciche, które do serca przytulają, za serce chwycą i sercem prowadzą.

Już, już bywały chwile, w których zacząłem wątpić czyli my, takie ubożuchne Koło w Mroku, zaważymy cośkolwiek w wielkiej pracy narodowej, czyli tych kilka bibliotek, jedna szkołka i jedna czytelnia mogą być uważane za ziarna posiewu, z którego plony jakimkolwiek dobytkiem stać się mogą.

W Zalesiu ukorzyłem się i poznałem, jaka wina jest brak wiary w moc pracy.

Oto taka jedna kobieta polska; prawie bez żadnej pomocy, bez poparcia, osamotniona, sama jedna we wsi górskiej do pracy stała, a trwa i nie wątpi.

Uczyniła z swej szkoły nie urząd i nie warsztat zarobkowy, lecz pełen słonecznej jasności i słonecznego ciepła, dom, w którym duch Polski budzi się i — żyje...

O! ja się nie dziwię, iż dzieci z Zalesia o książki proszą i czytać pragną.

Ja się nie dziwię, iż we wsi przed chatami są już ogródki pięknie obrabiane, iż chaty mają wygląd schludny i estetyczny...

Dzieci z takiej szkółki roznoszą nowe technie nie po chatach i wpływ oświaty musi się objawić na każdym kroku.

Pani nauczycielka w Zalesiu zapowiedziała dzieciom, iż w niedzielę popołudniu przyjedzie z Mroku jeden pan, z książkami, więc niech one się zjedą, podziękują za dar i zaraz pożyczą książki do czytania.

Przyjechałem. Wchodzę do izby szkolnej.

Kościuszki portret owity wieńcem z choiny, przed obrazem Matki Boskiej lampka płonie, na ścianach drukowane dużymi literami złote myśli naszych poetów.

Izba jasna, czysta, piękna.

Po powitaniu, odśpiewały dzieci jedną

zwrotkę „Boże coś Polskę“!... Jedna z dziewczynek wygłosiła ładny wiersz Konopnickiej, potem przemówiła nauczycielka.

Zwracała na to uwagę, czem są książki, ile w nich skarbów, wiele trudu i pracy kosztuje pisanie i drukowanie książek.

Doskonale widać było po wyrazie twarzy u dzieci, iż one rozumieją każde słowo i myśl każdą, bo dzieci te nie uczą się pamięciowo, bo one nie są w kuźni lecz w świątyni oświaty...

I potem jeden z chłopaków bardzo mądrze odpowiedział, dziękując w imieniu kolegów, a potem podniosły się rączki w górę i szept przeleciał przez izbę. — Prosimy o książki!... aż wreszcie po pieśni i pożegnaniu rozeszła się gromadka i w izbie szkolnej zostałem ja z czarnobrewką smukłą i bladą...

— Dziękuję Panu w imieniu tych wszystkich, którzy z daru korzystać będą... byłam naprzykrzona, prosiłam tyle razy, lecz proszę mnie usprawiedliwić. Bolesnie jest patrzeć na wyciągających rękę, gdy się chlebem podzielić nie można.

— T. S. L. byłoby na pierwszą prośbę Pani pospieszyło z książkami, ale brak grosiwa wstrzymał nas. Koło nasze jeszcze walczy. Niezmiernie jest trudno zdobyć tyle dochodu ile wymagają potrzeby.

— Bo T. S. L. wspierają właściwie tylko

ci, którzy podtrzymują wszystkie narodowe stowarzyszenia w kraju.

— Niestety!...

— Czy ci najbogatsi magnaci nasi dają wkładki?

— Niestety...

— A ci najwięcej T. S. L. potrzebujący, ci z chat i wiosek należą do T. S. L.?...

— Po części...

— Nie wyliczajmy wreszcie tych wszystkich innych, którzy stoją na uboczu, bo to zanadto smutne, lecz zejdźmy na inny temat. Chciałabym zwrócić uwagę Pana, jako pracownika w T. S. L., na potrzebę zorganizowania teatrów ludowych, one ogromnie wiele życia wnoszą i porywają wprost tłumy. Tej zimy, dzieci moje grały dwa razy w szkółce sztuczki łatwe, to przecież z trzeciej i czwartej wsi przyjeżdżano na przedstawienie. Gdyby tak w innych szkółkach...

— Gdyby tak... powtórzyłem jak echo...

— Lecz trzeba w innych szkółkach pokrzepić dusze tym, co zostali 10—20 razy zgnębieni, a ani razu nie podniesieni, trzeba tym w innych szkółkach rozgrzać serca bodaj słowem uznania za trud i pracę, gdy zawsze byli mrożeni zniechęceniem i niewdzięcznością. Niejeden raz, gdy myśl porywa nas dalej — wracamy na głos dzieci i orzemy choć duch zmęczony, a serce zbolałe.

Zaproszono mnie na herbatę.

Starsza siostra krzątała się około samowara. W mieszkanku ubogiem pełno estetyki i powabu...

Mówiliśmy i mówiliśmy, zdawało się sobie nie widząc i o sobie nie myśląc, bo T. S. L. lud, nauczycielstwo nas zajmowało.

Lecz kiedym wracał do Mroku w noc jasną, księżycową, widziałem tylko te czarne oczy przed sobą i słyszałem tylko jej głos dzwoniący jak echo — w wspomnieniu...

W ubożuchnej sukience, gładko uczesana, bez salonu i aksamitnych foteli... w tej chacie słomą krytej... czemuż ona?

Na to pytanie, przesunął mi się przed oczyma ów obraz rysowany słowami Słowackiego w Anhellim...

„I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej skrzydeł końce obwisłe ze smutku“.

Tak wraca jej duch na wołanie dzieci i w izbie szkolnej buduje przyszłość.

---

Dochód z rantu nie wielki, ale może starczy na zwiezenie drzewa budulcowego.

Roboty coraz więcej.

Czytelnia w Podkamieniu wymaga większej opieki. Ja i Bicz nie wydołamy.

Każdy się wymawia. Może po karnawale lepiej będą pracowali.

Nowe podania o założenie czytelnicy wpływają.

Niektórzy członkowie Wydziału żądają, ażeby lud składał pieniądze na książki. Nim do tego przyjdzie wiele wsi będzie bez książek!...

Czy jest coś smutniejszego nad owe dzieci z ulicy? Gdybym widział kwiat wypadły z okna na ulicę, ulitowałbym się. Wszak wiem, roślina bez opieki ginie i usycha.

Gdybym widział na ulicy jakieś przedmiot cenny, dzieło sztuki, co ma wartość bodaj materyjalną, schyliłbym się, myśląc o tem, iż szkoda, by rzecz taka na ulicy poniewierała się.

Ale dzieci widzimy tak wiele i nie litujemy się, ani tyle co nad rośliną z wazonika wypadłą, ani tyle, co nad dziełem sztuki narażeniem na uszkodzenie.

Ten Kubuś praczki cały dzień na ulicy.

Bez kapelusza, bosy, w majteczkach ledwie na jednym guziku trzymających się, co ten chłopiec wyprawia za krzyki, a co ma za dowcipy szalone!...

Utrapieniem jest wszystkich mieszkańców, biją go, wypędzają, grożą bezustannie.

Bicz ilekroć do mnie idzie, to z Kubusiem na ulicy ma starcie, „ma temperament“ powiada do mnie, ten chłopiec ma temperament gangreny moralnej i nie skończy inaczej jak w kryminale.

— Z śmiechem o tem mówisz?

— Mój drogi! Gdybym chciał płakać nad każdym złym chłopcem, chybabym się rozpłynął.

— Czy my jednak powinniśmy zezwalać na to, ażeby u nas podobne jednostki istniały.

— Zapewne chcesz by T. S. L. opiekowało się i takimi Kubusiami?

— Dlaczegoż nie? Mamy nazwę „Szkoły ludowej“, lecz powinnością naszą jest i do szkoły przygotować i ze szkoły dalej prowadzić.

— Ostatecznie dojdzie do tego, iż rząd, kraj, władze odnośnie przestaną działać, bo my wszystko przez T. S. L. ogarniemy.

Nie obawiaj się!... Największy zapal naszych członków nie wystarczy, kraj, władza, sejm, rada szkolna będą mieli wiele do roboty, my zaś także znajdziemy nie mało.

Podczas tej rozmowy straszny wszask doleciał do mego pokoju. Spieszę do okna. Kubuś z skrwawioną twarzą do mnie się zwraca:

— To on! to on!...

— Co ci zrobił?

— Kamieniem mię walnął, Janek zapalczarz.

Na ulicy zbiegowisko, starsi się przezywają, dzieci się cisną, przekleństwa sypią się gradem.

— Cóżes taki oswiały?

— Boli mię!

— Wszak nie ty dostałeś kamieniem...

Nie umiesz tego zrozumieć, iż bardzo często boli nas to, gdy inni kamieniem dostają. Są blizny głębokie ryte na duszy, a ryje ból tych jednostek, które nawet swego własnego bólu nie czują. Dusze opancerzone ciemnotą mniej są wrażliwe na odczuwanie tych cierpień, które kaleczą nas.

Zapałkarz Jasiek, wzięty pod wymiar sprawiedliwości jakiegoś rzemieślnika, otrzymał bicie bezlitosne, a gawiedź upominała się, by i Kubusiowi tak samo dano naukę.

Za dużo mi było tego.

Wybiegłem i przygarnąłem Kubusia.

— Uczcie a nie bijcie! — zawołałem odważnie.

— Bez bicia nic się nic nauczy!

— Na zbója rośnie! Zuchwały!... Nikogo nie szanuje...

Okropna wrzawa.

Kubuś tuli się do mnie. Wmieszałem się w uliczną awanturę i sam nie wiem co dalej robić.

Lecz gdym spojrział na tych kilka strasznych twarzy, czekających widoku zemsty za wszyst-

kie wybryki, gdym zmierzył siłę tych ludzi, którzy jedynie za to karać pragną dziecko, iż ono opieki nie miało — wtedy wzbudziła się litość serdeczna, wzięłem Kubusia i wprowadziłem do pokoju.

Długo trzeba było mozolić się, ażeby matce przedstawić, iż dla dobra dziecka chce się go z ulicy zabierać i do ochrony przytulić.

Pani Zofia zorganizowała tymczasową ochronę w wynajętej izdebce, naprzeciw czytelnicy w Podkamieniu. Jest takich „zapałkarzy“ już trzech, siedmioro dzieci tak obrosłych brudem i wrzodami, iż podobniejsze są do zwierząt jak do ludzkich postaci, zaś czworo dzieci kalek zupełnych.

Rada powiatowa, gmina, sądy opiekuńcze, filantropijne stowarzyszenia powinny tu wysłać delegatów. Niech spojrzą prawdzie w oczy.

— Za dużo dzieci! rzeknie nie jeden i czyni to z zadowoleniem, bo zdaje mu się, iż filozoficzną doktryną uleczył raka.

Jak nam brakuje ludzi przygotowanych do pracy oświatowej!...

Gdy trzeba kogoś z odczytem, z przemówieniem, z seryą wykładów i pogadanek, wtedy liczymy i liczymy pracowników a rachunek



zamyka się na liczbie kilku jednostek, które ciągle, wszędzie i zawsze pracują.

Zostaliśmy i tak w tyle po za narodami, które umiały pójść naprzód, lecz jeszcze nie chcemy zrozumieć, iż nie dość dla siebie zdobyć wiedzy trochę, lecz trzeba pomódz w pracy, ażeby ciemnych nauczyć żyć...

Konopnicka słusznie woła w jednym z swoich wierszy:

- Gdzie my od was odbiegli?
- Gdzieście wy zostali?
- Czemu nie razem w górę
- Poszła wasza droga?
- Czemu my dzisiaj wielcy,
- A wy czemu mali?
- Kto z nas za to odpowie
- Przed sądem u Boga?

Polska już nie jeden raz odpowiedziała za to przed sądem u Boga, iż jednych wiodła i wyżej i jaśniej i wielkimi czyniła, a drugich zostawiała niżej i w mroku ciemności, zapominając o nich, choć żywili, budowali, kuli, pracowali.

Odpowiedziała za to Polska wówczas, gdy Konstytucya 3 maja za późno przyniosła dla zapomnianych równość i za późno otworzyła wrota do światłości ducha... ale dziś, teraz, już my odpowiadać za to musimy, co staje się krzywdą, zapomnieniem i obojętnością dla ludu rolnego i robotniczego.

Dziś już nam nie wolno odbiegać jednym i wyżej i dalej, nie wolno drogi jednych w jasność kierować i prostować w słoneczność, a drugich zostawić w mroku i zapomnieniu.

Nie wolno nam być wielkimi w pysze, lecz musimy być wielkimi w pracy, bo czas najwyższy, ażeby wyrównać krzywdy.

Narody wolne, narody szczęśliwe, narody, które umiały dać oświatę swojemu ludowi, te narody oparły się wichrom politycznych walk i uratowały kraje od zdobywców...

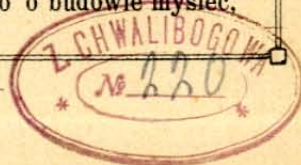
A my... gdzież jesteśmy i na jakie krzywdy patrzeć musimy!...

U nas są jeszcze ciągle wielcy i mali, jeszcze jedni daleko, drudzy blisko... jeszcze są bogaci w wiedzę i nic z niej dać nie chcą... jeszcze są, którzy mają dużo wolnego czasu, a każdą chwilę biorą dla siebie...

I ci mali, zebrani w czytelnii na przedmieściu Mroku, pytać mogą z smutkiem w sercu, dlaczego nie razem w górę poszła ich droga i czemu tamci wielcy, którzy czerpali z skarbow wiedzy, dostali tak wiele, a oni tak mało...

Chociaż koszta rautu i tomboli dyabelnie były wysokie, jednak czystego dochodu na T. S. L. zostało jeszcze 916 koron!...

Można będzie jako tako o budowie myśleć.



a resztę może przyniesie jednodniówka, o wydanie której kołace pani Skierka.

Plan szkoły w Brzegu przy dyabelskim moście, mam już w ręku.

Radbym był go rysować i malować w rozmiarze 3 razy większym, bo mi ciągle stały przed oczyma zbite główki dzieci, cisnących się w ławkach, ale jakże to na szeroką skalę rozwijać plan tej szkoły, na którą ma się jeszcze tak mało, iż może na zwiezenie zakupionego drzewa nie starczy.

A tu trzeba się spieszyć, ażeby zimową porą zgromadzić drzewo i z wiosną do budowy przystąpić.

Niejeden raz myślę — wieleż to jodeł wśród lasów, wieleż to sosen na wzgórzach naszych, a my tak mozolnie musimy zbierać grosz na kupno drzewa dla szkółki w Brzegach.

Są tacy ludzie zamożni, którymby to nie zrobiło różnicy w dochodach, gdyby ofiarowali na budowę szkół po kilka drzew i wycięli z obszarów ziemi po kilkadziesiąt sążni.

Na tych kawałkach ziemi ofiarowanych pod szkoły plenne, by ziarno wschodziło i po kraju rozmnażałoby się bogactwo owo, od którego dla wszystkich dobra by przybywało.

Jodły i sosny ścięte z głębi lasów, oddziaływałyby echem tych słów nauki, które są prawdziwą pieśnią dzisiejszych legionów — „Nie zginęła“.

Plan budowy szkoły w Brzegach leży przedemną.

Coś tak chwilami przesuwa mi dziwne sny — zdaje mi się, że na progu tej szkółki stanie czarnobrewka z Zalesia, że te jasne, płowe główki będą jej sercem nastrojane — że i ja tam kiedyś w progę się pokłonię nisko.

Sosen mi trzeba! sosen na szkółkę!... Kto to wołanie usłyszysz?

Siła zła, ciemnoty, podburzonych instynktów, głodnych ust, upadłych dusz, zarysowuje się tem wyraźniej im bliżej warstw niższych stoimy.

Czujemy wszyscy i widzimy dobrze, iż z tych głębin mrocznych powstaje jakaś siła rwąca pęta, słyszymy niby szum wezbranych fal, wyrrywających się z brzegów, zdaje się podnoszą się jakieś dłonie silne, ciężkie i albo zębrzą o kawałek chleba, albo grożą zemstą i nienawiścią.

Chlebodawca niejeden raz boi się swego sługi, majster czeladnika, rolnik swego najmity, bo stają naprzeciw siebie nie bracia, nie rodacy lecz ciemni, zapomniani i pokrzywdzeni wobec wyższych, rozkazujących i — częstokroć wyzyskujących.

Lecz wieleż razy ci wyżsi, płacący są znów pokrzywdzeni przez niesumienną pracę robo-

tników! Wieleż razy i za najlepsze obejście otrzymują niewdzięczność nienawiścią pojona?

Ciągle widoczna jest linia graniczna światów obcych dla siebie, obojętnych dla serc.

Wyżsi i niżsi, niżsi i wyżsi to bezustanny rozdział klasowy i stanowy, a czem więcej ciemnych umysłów, tem większa niechęć i nieufność.

Wyniosłość pychy nie owija się tylko około serc poruszanych błękitną krwią... Z pałaców sterczących dumnie poszła pycha niżej i niżej, a siała ziarna obficie i plony wzeszły o!... aż nadto bujnie... Przez wieleż wieków życia Polski był lud pogardzany, odtrącany i krzywdzony tem, iż mu światła nie dawano?... I któż nie powie dziś, iż brak oświaty to krzywda najciemniejsza i wina najboleśnieszka?... Serca porosły butą i pychą, a u drugich nienawiścią i złością. Wszak nie trudno usłyszeć z ust rzemieślnika pogardliwe wyrażenie „cham“, gdy mówi o czeladniku lub terminatorze. Co gorsze, rolny gospodarz parobka najetego potrafi traktować z wyniosłą pychą i ma także dla niego obelżywą nazwę „dziad“, jako dla biedaka bez kawałka roli.

Pani wobec służącej, panienska wobec „szwaczki“, gimnazjalista wobec byłego kolegi w rzemieślniczej bluzie, handlowiec wobec przemysłowca i tak dalej i tak ciągle, wszy-

scy pychą i wyniosłością mroźną kaleczą serca....

Jak wiele ran -- nie ręką wroga zadawanych!...

Te wszystkie myśli oblały moje czoło, gdy wyszedł z szkoły w Kolcach.

Nauczycielka nie chciała przyjąć kierownictwa czytelnicy. Powiedziała, iż dość jej tego zetknięcia się z ludem, od którego odsunąć się nie może.

Nie mogę ich spoufalać i ośmielać, nie mogę próbować po za szkolnymi godzinami pracy. Dość tego!...

Może być! Może być, iż zmęczona jest i przepracowana, może być, iż pragnie mieć jeden dzień wypoczynku i ciszy, ale czy nie można tego wypowiedzieć w innej formie?

Wyszedłem z „salonu“ nauczycielki wiejskiej bardzo chmurny.

Jak dużo brakuje do tego, by nauczycielka taka była „dobrą panią“ o jakiej gwarzy pani Zofia!!!...

Trzebaby wszakże i do tej duszy promień jasności rzucić, zmieniłaby punkt widzenia.

Idę do Brzózki, pieszo przez las. Zapytam tam w szkole, czy się nie da czytelnicy umieścić, chociażby początkowej.

Druga miejscami błotnista. Suche liście poruszane stopami wydawały szmer jakiś dziwny. Zdawało się, iż się skarżą na tę po-

wolną śmierć, na to pohańbienie ich, które z szczytu drzew pchnęło te liście w mrok gąszczy i teraz im zamiast w blasku słońca, trzeba leżeć w zdeptanej masie, gnić i ginać.

Strąceni nie podnoszą się w górę,  
Upadli nie stają w blaskach słońca.

I kto wie, czy ci dzisiejsi, którzy pycha tak ogromnie grzeszą i pod królowanie kast ścielą drogi, czy ci byłiby bezlitośni dla „niższych“, gdyby choć raz duchem mogli być wniesieni wyżej.

Gdyby ta nauczycielka w Kolcach, zamykająca drzwi przed ludem, była wychowana wśród pogody miłości wszystkich warstw i stanów, zapewne, kochać by umiała tych, do których z pracą apostolską przyszła. Zapewne wyrosła ona w tej klasie społeczeństwa, która najwięcej doznawała pogardy i poniżenia.

Tą samą bronią odplaca się, którą bronią rany podawano.

Chwilami staję i pytam się:

— Iść do Brzózki, czy nie iść? Nieznany, zapukam do nauczyciela, a może usłyszę gorzkich skarg słowa... A może istotnie tym ludziom należy zostawić dzień na wytchnienie! A może rzeczywiście za wiele od nich żądamy?...

W tej chwili poczynam rozważać głębiej

sprawę obywatelskich obowiązków wszystkich w narodzie i przechodzę do przekonania, iż jak od kapłana, doktora, sędziego, obywatela żądamy służby Polaka dla Ojczyzny, tak i od nauczyciela mamy prawo żądać, by po za tem, co jest obowiązkiem pracy za płacę, spełniał i to, co jest poświęceniem dziecka dla matki.

W Brzózce szkołka schludna i miła. Nauczyciel uprzejmy, ale gorzkim piółunem zawodów napojony.

— Chciałem prosię pana wiele robić, zaczynałem, prosiłem, pisałem, wszędzie szło jak z kamienia, wszędzie wysmagali zapał i wymrozili uczucie. Powoli zaczęło przychodzić zniechęcenie. Wie pan, czasem budziłem się w nocy i zdawało mi się, że na piersiach mi leży gad obrzydły, który wysysa ostatnie krople zapału i uczuć... Człowiek tu panie zdziaczał, zgłupiał, ocieżał. Bez żadnych gazet, bez towarzystwa, bez żadnej pomocy ludzi światłych, ot tak, żyje aby dziś, aby jutro. Na pierwszej posadzce zacząłem inaczej pracować. Historia Polski tak panie szła u mnie w klasie jak pacierz codzienny. Bez chronologii, bez dat i pamięciowych rzeczy umiały dzieci opowiedzieć dobrze, jakie były czasy Piastów, Jagiellonów... No i cóż? przyjechał inspektor, jak zaczął austriacką historię pytać dokładnie z datami i chronologiami tak dostałem naganę za słabe wyniki i przenieśli mię za

kare. Drugi inspektor, jak zaczął geografie Austrii przerabiać, tak znowu panie wpakował mi pasztet za złe wyniki. Skuliłem głowę i uczę już dobrze. Tak panie! Teraz dobrze ucze, ale tu w piersi zimno i zwątpienie wysssało ostatnią kroplę zapału.

Gawędzimy długo. Dzieci nauczyciela trochę przełęcznione patrzą na gościa.

On też powiada:

— Czy myśli pan, iż dzieci moje przywykły do odwiedzin? Kto u nauczyciela bywa? Koleżanki z sąsiednich wsi nie lubią starszych kolegów. Koledzy odwykli od towarzysstwa. A lat przejdzie 5, 6, 10 i nikt do szkółki nie zagładnie.

Wracając, postanowiłem dążyć do tego, by ruchomą bibliotekę dla nauczycieli w ruch puścić.

Niechże T. S. L. zapuka i do okienka mieszkania nauczyciela! Niechże T. S. L. posłucha, jak tam serca biją a „zwątpienie“ wypija ostatnie krople zapału...

O! jaki ja zmęczony wróciłem tej niedzieli do domu! Kolce! Kolce!!

Kiedyż bo ja nie pisałem!...

Oh!... za ciężko mi czasem i za gorzko.

Porwałem się do pracy nad siły. Co tro-

chę pchnę Koło naprzód, znów staczam się wstecz.

T. S. L. wielkie hasło, ale musi się opierać na ludziach wytrwałych.

Ten i ów bardzo łatwo z krytyką się rzuca i woła:

— Niech T. S. L. robi to!

— Niech T. S. L. robi więcej!

— Niech T. S. L. prędzej działa!...

A T. S. L. ma tysiące przeszkód, zapor, trudności i niemożebności do pokonania.

Myślałem, iż już nie wrócę do tych kartek. Lecz przychodzę, bo zdaje mi się, jak się sam przed sobą wygadam, niby mi lżej będzie, niby się przed kimś usprawiedliwie.

Kasprowicz słusznie śpiewał:

- Nie wiń nas wiosno, że lice  
W walce nam bledną...
- Nie wiń, że marszczą się lice  
W tej nędzy,
- Lecz spuść rzeźwiącą krynicę.  
Na duszę bledną
- O! spuść rzeźwiącą krynicę  
Co prędzej!...

O! nie wiń nas wiosno, żeśmy tak mało zrobili, że nie uczyniliśmy tyle, ile trzeba było czynić, ale rozgrzej najpierw zimnym i obojętnym serca, a potem przyprowadź tych rozgrzanych do nas, do T. S. L. i powiedz niech nie żałują trudu, nie liczą ofiar, nie

waża, ile dają, lecz niech mierzą, ile ugorów nie zoranych i pól nie obsianych.

My nie mamy ludzi z gorącą miłością i wiarą w przyszłość.

Dlatego jeszcze powoli idziemy naprzód. To wszystko, co się robi, to wszystko jest ofiarą i poświęceniem i wysiłkiem i ogniem jednostek. Ogół jeszcze nie pojął, nie zrozumiał nie uszanował tej idei, którą T. S. L. ma na swoich skrzydłach. Ogół jeszcze woli nienawiść kolebać w sercu i kastowość zazszczepiać starannie, gdy „jedyna droga rozwidnień i oświeceń, to droga miłości i wyrozumienia!...

Ah! miłości i wyrozumienia!

Jak to mało owych serc, nastrojonych w akord wyrozumienia!...

A tak samo my „wyżsi“, to znaczy my wychowywani i oświeceni, nie umiemy wyrozumieć niższych, jak oni, ci, nie wychowani i nie oświeceni, nie umieją nas zrozumieć i dla naszych wad nie mają pobłażliwości.

— Ludzkość odbyła długą drogę od robaka do człowieka, lecz jest w niej jeszcze wiele robaczego — mówi Orzeszkowa.

A to, co pozostało jeszcze z robaka w człowieku, to się objawia przedewszystkiem w ostrości szczęk i złośliwości pragnień, jest to, co pożera ziarna miłości i depce łodygi wyrozumiałości.

Ludzie wolą wyszukiwać wady jak cnoty.

Ludzie wolą wyliczać ile win mają ci lub inni, a nie chcą budować drogi poprawy i ulepszenia ducha.

Ileż to robaczego objawia się w sercu tych, którzy nic nie robiąc plwają na innych, gdy im w pracy nie każde źdźbło wyda kłos i nie każde drzewo strzeli szczytem wysoko.

Ileż to robaczego w duszy tych, którzy pasą się i tuczą chciwie, a drugim nawet okruszyn dać nie chcą.

I nie rzadko robacze jest życie tam, gdzie wszystko wysilone, ażeby ukryć zwierza i ukazać człowieka wyższego nad tłumy!...

- Nie wiń nas wiosno, że lice  
W walce nam bledną...
- Nie wiń, że marszczą się lice  
W tej nędzy...

My przyszliśmy jako następcy po wielu pokoleniach, które szły z zawiązanymi oczyma.

Nie widziały dusz braci wśród rzeszy pochylonej.

Niby klinem w twarde drzewo wciskamy się między dwa odmienne światy. Tych, którzy do nas podnoszą zażawione oczy i tych, którzy na nas z pychą nieufności spoglądają.

— Po co uczyć czytać? — pytają „wielcy i możni“, ażeby czytali o socjaliźmie i dowiadywali się o strejkach?

— Dajcie nam szkoły! — wołają nędzni — bo jako ślepi chadzamy po świecie i pohańbienie nosimy na każdym kroku.

— Po co czytelnicy i wypożyczalni książek chłopom? — pytają niejedni — wypędzić trzeba przedtem lenistwo i pijaństwo, nauczyć trzeba przedtem pracować i oszczędzać.

A z chat wioskowych idą szeptki i skargi...

— Nie nakarmiliście nas duszy, nie rozjaśniliście nam serc, błędzimy i upadamy, chcecie byśmy byli lepsi i czystszy, a nie dziecię nas tam, gdzie się jest człowiekiem!...

Nie wiń nas ludu, że późno z posiewem prawdy do cię idziemy...

Nie wiń nas ludu, że późno pochodnie światła rozpaliliśmy i jeszcze nie wszędzie z nią dotarliśmy...

Nie tak łatwo naprawić winę zapomnienia wielu wieków.

I nie tak łatwo znaleźć dziś tych do pracy, którzy nie mają w sobie nic robaczego, a posiadają serca pełne wyrozumienia i miłości...

-----

Nasze Koło w Mroku mało ma sił i materalnych i moralnych i to mię chwilami łamie zupełnie.

Bal urządzony w ostatki na T. S. L. miał

czystego dochodu 1008 koron. Wydatki pochłoneły 800 przeszło koron!...

Jednodniówka pani Skierki kosztowała przeszło 300 koron — na razie przyniosła dochodu 96 koron.

Czy myśleć może kto, iż w Mroku i jego okolicy nie ma bogatych ludzi, takich, którzyby mogli dać ogromne sumy na cele T. S. L.?

Stanowczo jesteśmy winni my, bo nie umiemy zachęcać do udziału w pracy T. S. L., nie umiemy przedstawić prawdziwego znaczenia stowarzyszenia tego, które dzisiaj jest najżywotniejszym czynnikiem. Tylko odczytać statut i zbadać co robią wszystkie Koła... tylko poznać, ile w tem tkwi prawdy i poświęcenia!...

Jaśko Pobijak, ten, który ukradł gołębia, ten, któremu ongi pan nauczyciel nie bardzo rad był książkę pożyczyć, ten sam Jaśko wybrał się do miasta, wywiadał się gdzie mieszkam i stanął przedemną zaczerwieniony jak piwonია.

— Cóż mi powiesz chłopaku?...

— Przyszedłem do Wielmożnego pana, bo za mało u nas książek.

— Za mało? — Uradowałem się bardzo. — Czytacie chętnie?

— Taka „dobijatyka“ o książki, że nawet przynoszą to jaja, to mleko, aby więcej dostać.

— Więc wam przywieziemy więcej, przywieziemy. Cieszę się bardzo.

— Ale proszę Wielmożnego pana, od tych książek, to się „przeinaczyło“ wiele w szkole. Pan profesor inny...

— Jakto? Inny jest profesor?

— Ten sam, jeno dla ludzi inny. Kiedyś mnie nawet pogłaskał, a tamtemu Grześkowi, co od gajnego, darował gazetę. Sam pan profesor mówił do nas. — Niech kto idzie do miasta, a o książki prosi, bo niema do czytania. Tak ja się wybrał, tylko niech się Wielmożny pan nie gniewają, ja tu od nas, od chłopaków ptaka przyniósł w podarunku, pieszczony, chowany i śpiewa.

Wyjmuje z koszyczka drozda i ofiaruje w podziękowaniu za książki.

Przygarnąłem Pobijaka do serca i zdawało mi się, iż on jest ptakiem ułaskawionym, dzwoniącym wielką pieśń obudzenia się wielu serc z ciemnoty...

Poszedłem z chłopczyną do pani Zofii. Ona z nim pogawędzi. Po tylu latach pracy wśród chat zawsze jej tęskno do dzieci wiejskich.

Ochronka nasza pod skrzydła swoje już 50 dzieci przygarnęła.

Pani Zofia poświęca się całą duszą, Panna Łucya wiele godzin tu spędza. Co się z dziećmi dzieje, ten tylko pozna, kto znał te dzieci brudne, dzikie, straszne.

— A Kubuś?... gdzie Kubuś ten straszny, przed którym cała ulica drżała?...

— Cóż to pan go nie poznaje?

— Nie widzę go.

Pani Zofia pochyła się nad ładną główką chłopczyny, który wypłata koszyk z sitowia i mówi:

— Kubusiu! przywitaj się z panem.

A dziecko podnosi no mi nie pogodne oczy i uśmiecha się słodko.

Takie to są plony T. S. L...

Nadchodzi dzień 3-go maja!...

Świetlany, jasny dzień...

Dzień „daru narodowego“ na rzecz T. S. L.

Jeden, jedyny dzień w roku, w którym nikt nie odwróci się zimno od naszego Koła i nikt nie powie: dość mamy wydatków i celów, nie stać nas na więcej.

Wszyscy z wydziału zajęli się szczerze obchodem dnia 3-go maja.

Będzie uroczyste nabożeństwo, z kazaniem...



Będzie pochód do pomnika Kościuszki...

W kiosku będzie sprzedaż narodowych odznak, broszurek i pieśni.

Kilka stolików będzie urządzonych do zbierania daru narodowego.

A wieczór uroczysty obchód w sali Sokoła.

Zaś po czytelniach naszych rozeszliśmy listy z gorącą prośbą o udział w pracy T. S. L. urządzanie odpowiednich zebrań dla dzieci i dla ludu...

Oby tylko pogoda sprzyjała!..

Słoneczność idei tego dnia jeszcze nie wystarcza i nie otwiera hojnych dłoni!.. Trzeba by dzień 3-go maja był pełen blasku, słońca i ciepła, by tłumy przechadzać się mogły z wesołym uśmiechem, a wtedy i datki sypać się poczną obfitsze i sprzedaż szybszym krokiem pójdzie...

O dniu 3-go maja, przyjdźże w złotych promieniach pogody i wesela!..

Najpiękniejszym czynem rodaków byłoby, gdyby się ci wszyscy na członków T. S. L. wpisali, którzy jeszcze do stowarzyszenia nie weszli...

Gdyby ci wszyscy zrozumieli, iż 2 korony rocznej wkładki to nie ofiara nad możność, a poparcie ogromne istotnej pracy.

Czy nie mówiłem dawniej, iż praca pań w T. S. L. może przynosić ogromnie wielkie korzyści?..

Tylko trzeba było z początku dopominać się o nią i prosić i błagać o pierwsze kroki.

Gdy się tylko dwie, trzy panie znalazły odważniejsze i wytrwalsze, Koło nasze potoczyło się szybszym ruchem.

Teraz pani Skierka w uroczystość 3-go maja zakłada drugie Koło T. S. L. „Koło pań“.

Nie dlatego, jakobyśmy się razem zgodzić nie mogli, nie dlatego, jakobyśmy wzajemnie nie chcieli się wspierać, lecz jest w tem myśl ogromnie ważna.

Koło pań obejmie dział pracy nad oświatą kobiet wiejskich i podmiejskich. Koło męskie zajmie się szkołami dla analfabetów, sekcją prelegentów, czytelnią rzemieślniczą.

Pani Skierka już poruszyła senne dusze i ma zapisanych do Koła pań blisko 70 osób!..

Ja jednak przyrzekłem być w wydziale, a to dlatego, ażeby czuwać nad rozkładem pracy, mogłyby się te Koła z sobą ścierać, a po winne iść równolegle.

Felek złośliwy dogaduje, iż ja z kokieteryi tam wlażem, ale on zawsze był taki.

Dwa tygodnie do 3-go maja! czy zdołamy wszystko tak urządzić jak pragniemy?

„Pisarzów brat“ z Brzegu doniósł, iż w jego szkółce odbędzie się obchód 3-go maja i gości zaprasza.

Może w tej wiosce raz pierwszy ludziska usłyszą to słowo 3-ci m a j!! Może raz pierwszy karta historii Ojczyzny zostanie dla nich otwarta!...

Pojedziemy!... o! pojedziemy gromadką i hukniemy od ucha do ucha wśród lasów Brzegu: Witaj majowa jutrzeńko!!

Będzie tam może i czarnobrewka moja, którą mię już panna Nutta sykuje co dzień...

Odkąd w T. S. L. żyje, niemało szczęścia zaznałem.

W biurze T. S. L. praca gorączkowa i szybka. Kokardki, dekoracja kiosków, sprzedaż widokówek i książek to dział pań.

My mamy puszki, kwestę, pochód, przemowy...

Przyniesiono kilkanaście puszek białych, a na nich czerwonymi literami wypisano:

— **Dar narodowy...**

Puszki będą ustawiane w rozmaitych miejscach miasta... będą prosić i wołać do przechodzących... dajcie datek na dar narodowy...

I budzi się we mnie pytanie...

Jakiż to dar narodu dla narodu?

Jakiż tobie dar narodzie?...

Miałeś koronę Chrobrych na czole i berło Kazimierza w dłoni, chadzałeś w purpurze

i trzymałeś stopy wyżej nad czołem pochyłego Krzyżaka, byłeś murem obronnym Europie i karmiłeś swoim chlebem pół świata...

A teraz prosisz kornie o dar...

Jakiż tobie dar?

Trzymałeś pochodnię oświaty wysoko wzniesioną i niosłeś Litwie krzyż jako znak wiary, „Złoty wiek“ stawił cię w blasku chwały, a twoje miasta zdobiły się w gmachy wspaniałe, a twoje zamki opierały się na silnych granitach, a twoje obszary pól, łąk i borów dzwoniły echem pieśni wolności.

Teraz prosisz kornie o dar...

Jakiż tobie dar?

Gdy błysnął dzień 3-go maja, stałeś w aureoli zwycięstwa najszlachetniejszego, boś poznał własne winy i niosłeś sprawiedliwości hasło dla wszystkich...

I oto wtedy zadzwoniły serca dzwonów warszawskich, wieść po całej krainie szeptała:

— Wolni z wolnymi — równi z równymi!...

Więc gdyś ty ojcem stał się wtedy dla wszystkich w kraju, gdyś ty przyniósł w dniu 3-go maja dar nad dary, ustawę, która dawała i równe prawa i równe obowiązki — gdyś był wtedy najszcześliwszym z narodów, boś niósł szczęście rzeszom zapomnianym, czemuż teraz, w rocznicę, stajesz z szeptem i powtarzasz:

— Dar narodowy!!

Jakiż tobie dar?

Żaliż ci purpury trzeba na skrwawione  
łańcuchami członki?

Żaliż ci trzeba korony na te skronie po-  
orane bliznami bólu?

Żaliż ci laurów i dębowych liści na te  
cierniów sploty?

Dałeś nam wiele, wszystko nam dałeś, co  
dać mogłeś, ty praojcze przeszłości, narodzie,  
rycerzu wykolebany wśród walk za wolność,  
orle niosący światło sprawiedliwości dla swoich  
synów!

A oto teraz stajesz przed nami i prosisz:

— Dajcie mi dar!

Jak stado białych ptaków rozsypanych zja-  
wiają się białe ćwiartki papieru, wysyłane  
przez „Zarząd główny“ a na nich prośba:

— Na dar narodowy!

Jako rozkwitłe dziwnych kształtów kiel-  
chy, oto zjawiają się białoczerwone skar-  
bonki, a na nich napis:

— Na dar narodowy!

I zdaje mi się, że cichy ból drga w szepcie  
tych słów, że się krople łez srebrzą na tych  
kartkach proszących o datki.

I zdaje mi się, że stoisz przed oczyma my-  
mi jako cień owego Piasta, który chlebem  
i miodem gościł Anioły Boże, a teraz idzie  
i prosi o chleb i miód dla swoich dzieci!...

— Grosz na szkołę ludową! brzmi wezwa-

nie starca, weterana chodzącego z puszką  
w Krakowie.

— Na szkołę polską na kresach! proszą  
panie kwestujące przy stolikach...

— Na kursa dla analfabetów! wołają aka-  
demicy...

— Na czytelnie ludowe!

— Na ochronki dla dzieci!

— Na wycieczki ludowe!

— Na wydawnictwa ludowe!

Tak naród woła i zebrze u swoich dzieci...

— „Wiedza jest darem darów“ powiedział  
Kraśiński, a my na posiew tego daru darów,  
musimy wyciągać dłonie i prosić żebrazco:  
Grosz na szkołę ludową!...

Czy nie ma dość skarbów, bogactw, obsza-  
rów pól, kopalni w głębi gór, lasów niezmie-  
rzonych, klejnotów, strojów, przepychu w rę-  
kach jednostek, któreby starczyły na wszyst-  
kie cele oświatowe narodu?...

Otóż właśnie w tem smutne ubóstwo Pol-  
ski, iż tak musi zbierać z datków drobnych  
groszy na dar darów, na posiew wiedzy, bo  
tylko jedni dają, ci co najmniej mają.

I oto przyszedł ów trzeci dzień maja, dzień  
pełen jasności, nadziei i chwały!...

Był on zarazem dniem siewu słońca, bo  
zaiste jasność spływała w serca obojętne,

jasność złościła czoła ludzi chmurnych i ponurych.

Dla T. S. L. dzień 3-go maja jest zaiste uroczystością najwspanialszą.

Niejedna data historii Polski przypomina nam, iż słońce u nas rozsiewano.

Rzucała siew słońca Jadwiga, gdy chrześcijaństwo Litwie nosła, Polsce akademie zakładała.

Rzucił siew słońca chwały i sławy Jan Sobieski, gdy siłą oręża polskiego zginał karki muzułmanów.

Był też siew słońca nadziei lepszej, gdy Jan Kazimierz śluby królewskie we Lwowie składał i chciał lud brać w opiekę.

Rozsiała też słońce promienne i złociste konstytucja 3-go maja, gdy zrównała wszystkie stany i klasy, gdy wolność przyniosła ludowi i ograniczyła przywileje możnych.

A jednak mimo tych dni promiennych i wielkich — jeszcze nie wszedł Polsce dzień pełen jasności, jeszcze mroku i ciemności błąka się niejedno tchnienie, jeszcze są „kochani“ i „niekochani“, jeszcze są „znani“ i „nieznani“, „nasi“ i „dalecy“ choć ci wszyscy są dziećmi jednej ziemi.

Konstytucja 3-go maja dla wielu jest już tylko wspomnieniem, a nie obowiązkiem, dlatego jeszcze siew słońca nie wszedł nad chatami.

Obalono nas dlatego tylko, iż w mroku ciemnoty nie widział naród zbliżającego się wroga.

Ustąpią się i cofną ciemności z Polski wtedy, gdy w jasności słonecznej każdy ich czyn i krok każdy będzie znany i widziany.

Choćbyśmy katedry uniwersytetów mnożyli w dziesięcioro i skarby zdobyczy naukowych rozrzucaли dziesięćkroć hojniej, nie błysnie 3-ci maj, gdy lud siewu słońca w chatach swych nie roznieca i w serca swe blasku prawdy nie przyjmuje.

Choćbyśmy pili mądrość naszych ust warogami dziesięćkroć większą gorączką palonymi, choćbyśmy zbierali promyki dłońmi dziesięćkroć pilniejszymi — nie błysnie 3-ci maj, gdy lud nie napoi ust swoich i nie będzie mieć dłoni pełnych promieni.

Bo wszystka zdobycz naukowa i jasność wiedzy jednej klasy, jednej warstwy, jednej kasty jest niczem w porównaniu do ciemnoty i mroku ogromnych mas i niezliczonych tłumów.

Bo wszelkie wspomnianie wiekopomnej Konstytucji 3-go maja będzie cczą deklaracją i pozowaniem, gdy nie otrząsamy gwiazd i nie siejemy słońca tym, którzy przez długie wieki stali w nocy zapomnienia.

Więc T. S. L. rzuca siew słońca.

Bierze elementarze, idzie z niemi w pod-

wórza kamieniczne, w suteran wilgotne izby,  
w progi chat, na pastwisk zielone obszary.

Zaprawdę! wierzyć w to trzeba, iż słońce  
sieje się nie tylko z bardzo wysokich sfer  
i nie z bardzo palących skier.

Więc T. S. L. rzuca siew słońca.

Bierze ćwiartkę papieru, na której drobna  
linijką wykreślona „Polska“, od morza do  
morza i mówi ludowi, oto macierz twoja...

Zaprawdę! trzeba wierzyć w to, iż słońce  
sieje się nie tylko wiedzą, ale i sercem, bo  
trzeba ażeby Polskę kochano.

Tak w posiewie miłości święciliśmy i my  
w Mroku słoneczny ów dzień, a nadzieja ro-  
sła, rosła, rosła!...

Wieleż dowodów, iż w narodzie tkwi po-  
tega, siła olbrzyma!...

Na dzwon hasła potężnego budzą się uspio-  
ne, senne masy, widma, manekiny, lalki, ma-  
szynki nakręcane rozmaitymi kolizjami obo-  
wiązków i wtedy stają szeregi niezliczone!...

Gdyby można było moc i potęgę dnia 3-go  
maja utrzymać przez rok jeden, przez jeden  
rok byśmy dźwignęli się obywatelsko.

Spieszę ja z paką książek do kiosku pani  
Skierki, aż tu moja czarnobrewka, niebożatko  
z Zalesia, naprzeciw zjawia się jak sen wy-  
marzony.

Przyszło to ze wsi z gromadką odświętnie  
ustrojonych dzieci i wiodąc swą armię, z po-  
wagą istnej bohaterki powiada:

— Dajcie dzieci po groszu na szkołę dla  
tych, co jej jeszcze nie mają!...

— Dzień dobry pani! co za niespodzianka!  
Pierwszy raz widzę szkółkę ze wsi na obcho-  
dzie 3-go maja...

— Bo T. S. L. wołało tak do służby na-  
rodowej, iż trudno było nie przyprowadzić  
pacholąt ze wsi.

Dzieci rzucają grosz na tacę i powta-  
rzają:

— Na szkołę tam, gdzie jej nie mają!...  
Poszliśmy już razem na nabożeństwo.

Gromadka dzieci zwróciła wszystkich uwagę.

— Co to za nauczycielka?

— Zkąd ta szkołka...

— To może jakie poprzebierane dzieci  
„pańskie“, bo tak już ludziom trudno uwie-  
rzyć, iż chłopskie dzieci mogą być grzeczne,  
czyste i oświecone.

A kiedy ta gromadka w kościele, czystym  
i dźwięcznym głosem zanuciła: Boże coś Pol-  
skę! zdawało się gdzieś od pól i lasów echo  
tej pieśni odpowiada i serce ludu łączy się  
z modlitwą o wolność Ojczyzny.

— Dlaczegoż z najbliższych szkół nie przy-  
chodzą nauczycielki z swojemi dziećmi, pyta  
mnie jakaś dama mocno zainteresowana.

— Bo w innych szkołach są nauczycielki tylko płatne po 50 koron miesięcznie.

— A ta ma większą płacę?

— O tak!... ona ma wspinała zapłatę dla której i za którą pracuje — wdzięczność ludu!...

---

Po nabożeństwie ruszyliśmy pochodem pod pomnik Kościuszki. Szły szkoły miejskie, gimnazjum, stowarzyszenie „Gwiazda“, nasza czytelnia, Sokół i ogromny tłum ludzi...

Wygłoszono tam mowę programową...

A ze mną stało się jak ongi w Lasku, gdyśmy czytelnię otwierali.

Anim wiedział, kiedym zaczął mówić, ani wiem kto mi szeptał słowa, przypominał wiersze.

Zdawało mi się tylko, że do czarnobrewki mówię i ją widzę, a ona każde słowo zrozumie i uszanuje i ludowi poda...

Porwała mię, jakaś siła niepojęta, jakaś moc niewidzialna... rzuciłem wiele najskrytszych myśli przed serca zebranych i chciałem, pragnąłem, ażeby serca wszystkich zrozumiały, czem jest miłość w narodzie.

- Ziszczenia snów, owoców trudu,
- Nie pragnij tu oglądać!
- Dałam ci moc nad sercem ludu.
- Nie możesz więcej żądać

mówiłem słowa Asnyka i zdawało mi się, że nad sercami przez chwilę władał.

— Nad sercem ludu!... nad tą głębią myśli, uczuć, wrażeń, pragnień i dążeń...

— Nad sercem ludu, nad tą arfą siedmiostrunna, która powinna w akord czynu uderzyć.

— Nad sercem ludu — nad tą niwą urodzajną, która zdolna jest dać plony tysiąc-krotne.

— Nad sercem ludu — nad tem dzieckiem, co jeszcze potrzebuje opieki i kierownictwa, ciepła miłości i wyrozumienia, nad tem sercem dała nam moc Konstytucya 3-go maja, a my moc tę bierzemy w nasze dłonie i idziemy...

I niczego więcej my członkowie T. S. L. żądać nie możemy, gdy mamy moc pracy nad sercem ludu, bo my nie chcemy sercem tem rządzić, ani niem władać, lecz chcemy serce to podnosić, rozpalać i uszlachetniać... Serce to jest przyszłością jutra, jest życiem wolności.

---

Dzień cały mijał w zachwycie i szczęściu.

Oprowadzałem gromadkę dzieci z Zalesia po mieście, wskazywałem na piękne gmachy. Zwiedziły także gabinet zoologiczny w gimnazjum. W parku spoczywały przy obiedzie.

A moje niebożątko zmęczone trochę pyta mię:

— Kto pana uczył przemawiać?

— Alboż umiem mówić? Koledzy twierdzą, iż ja tylko frazesami rzucam i zawsze tylko na jeden temat piosnke nuce, ale już przepadło, lepszym, parlamentarnym mowcą nie będę, bo ja tylko z serca do serca snuć nie potrafię.

— Gdyby pana słyszało dziś wiele objętych osób, może by były zrozumiały, jak mają pojmować swą pracę dla ludu. Nie uwierz pan, jak to smutno odkryć ranę, jednak muszę zwierzyć się panu... są tacy, którzy mało mają idei narodowej...

— Poznałem to niestety.

— Ja sama nie mogę zrozumieć co działa tak oziębiająco, a jednak działa, bo nawet moje koleżanki, które w seminaryum gorąco czuły, teraz patrzą na mnie jak na egzaltowaną entuzyastkę, nazywając mnie: patryotką!... co ma być dowodem, iż nie jestem postępowa, iż nie rozumiałam hasła nowej idei — wie pan — tej idei, która innymi drogami prowadzi. Lecz warunki bywają bardzo i przykre i trudne. Protekcya, względy, sympatyje, wpływy rozmaite, to wszystko łamie. A gdy się pracuje na wyłomie, potrzeba mieć siłę — siłę nieugiętą.

— Potrzeba także mnożyć skarby wiedzy, pracować i nad sobą, prawda?...

— Ah!... o tem nikt nie pamięta... Nasze biblioteki okręgowe nie dostarczają wielu

dzieł, my bardzo mało kształcimy się po za egzaminami.

Po chwili mówi czarnobrewka.

— Mamy daleką drogę przed sobą, musimy powracać.

Spojrzałem na nią jak na anioła, który chce odlecieć.

— Czy już? koniecznie?

— Jam tu dziś w służbie narodowej i nie mogę dla swego „ja“ odchodzić z posterunku... Pan tu w Mroku zajęty będzie do późna... nie powinienam mu nawet czasu zabierać.

Chciałem chwycić za rączki, prosić, by jeszcze została, ale przypomniał sobie, że i ja także dziś w służbie, w wielkiej służbie, 3-ci maj nie dla nas święto, ale dla tych, co świat miewają mało...

Jeszcze dzieci zaśpiewały chórem, jeszcze pokłoniły się Kościuszce, jeszcze uścisk dłoni... spojrzenie głębokie, wymowne i — do widzenia!...

Widziałem jak szła spokojna, poważna, jak jeszcze kupowała książki w kiosku, potem gromadka zaczęła gubić się w alei lipowej, potem jeszcze jej biała sukienka mignęła wśród drzew.

Zatrzymałem się przy stoliku pani Skierki.

Oparłem skroń na dłoni i jakby szklanymi oczyma patrzyłem na przechodzących.

Po długiej chwili budzę się niby ze snu...

Toż to grosze spadają na tackę raz po raz,  
a dźwięk każdego rzuconego grosza jest niby  
tonem jakiejś muzyki dobrego czynu...

Myśl moja szeptem dziwne słowa...

Dziś dzień daru narodowego...

Nie spiesz chłopaku bosy, rzuć grosz, jeden, drobny grosz... dzień daru narodowego, a tyś także narodu częścią. Wziąłeś od narodu wiele, masz imię swego narodu na czole wyryte, masz ducha narodowego częścią w swem sercu, uspioną, ale przyjdzie czas, zbudzi się ona, zrozumiesz co znaczy być Polakiem.

^Dzień daru narodowego!

A ty w mundurku gimnazjalnym, zatrzymaj się chwilę, rzuć ofiarę na dar. Toż pijesz z pełnego kruża, toż przychodzisz co dzień do zastawionego suto stołu, plonem pracy naukowej tylu wieków karmi cię naród, a za to żąda dziś — daru.

Wiedza jest darem darów. Wy wszyscy, którzyście bogaczami mądrości, wy, coście naczepnęli z skarbnicy nauk wielkie zapasy, wy, coście zebrali z łanów wiedzy liczne zasoby, czyż nie będziecie hojni?

Odwróć oczy z świata zabaw i rozkoszy, ty piękna królewno mody, szyku i flirtu. Oto dzień, w którym naród przemawia wołaniem skargi: czyż i dziś o mnie zapomnisz?

Matko! nie pytaj czyli dzieciom twoim broń

wkładać będzie trzeba, czyli drugi Kościuszko na nich zawoła, bo takie chwile jak błyskawice zjawiają się niespodzianie, a teraz narodowi trzeba szkół, oświaty, książek, darem darów jest wiedza. Naucz dzieci, aby wyciągały drobne rączyny i niosły składki, naród prosi o dar,

Pytasz co znaczy dar narodowy? widzisz biedny, kurzem cegły okrwawiony robotniku, dawniej szły wicie królewskie po kraju i wołały pod broń, na obronę wsi, miast, chat i ludzi. Dawniej grały trąby wojenne, łyślały pałasze, padały ofiary jak kłosa w polu.

Naród płacił krwią i życiem dar na utrzymanie wolności. A teraz naród prosi o datek groszowy, ziarenko drobne, bo teraz naród stał się siewcą oświaty, mocą ducha teraz zwycięzać będzie.

Twój grosz staje się bronią przeciw złemu, pomnij 3-ci maj przyniósł równe prawa i równe obowiązki.

A wy, w siermięgach i gorsetach krasnych? Czy nie rozumiecie, iż do waszych serc wołanie się zwraca? Wyście narodu ogromnym drzewem, wyście bogactwem w jego przetrzeleni, podwaliną jego bytu... My, tylko konarami i gałązkami z tego pnia, który daje życie i siłę. Nie może braknąć waszych ofiar w dniu dzisiejszym, bo wy z nami, a my z wami dążym do celu.



A ci, którzy pytają ponuro: — co za święto dla was?

A ci, którzy obojętni są lub patrzą z dziką niechęcią na wyciągnięte dłonie po dar?

A ci, którzy szyderczo urągają wspomnień przędzy i nie mają wiary w lepsze jutro?

Są to właśnie ci, dla których naród nie miał daru — darów — wiedzy skarbnicy. Są to ci, którzy jeszcze nie zrozumieli, iż są narodu częścią.

Są to ci, nad którymi największą litość mieć powinniśmy, bo im się stała krzywda, bo to byli wydziedziczeni bez winy i odtrąceni bez opieki...

Dar narodowy, dar serc milionów, to posiew wiedzy, więc święć się dniu 3-go maja i przynosź plon taki, na jaki czekają wioski bez szkół, gminy bez czyteln, dzieci bez ochronek, kresy bez opieki i miliony tych serc, które nie wiedzą, iż są narodu częścią.

Jakiż tobie dar?

Ty, coś miał koronę Chrobrego na czole i berło Kazimierza w dłoni, coś wiódł Kościuszkę w sukmanie i żyjesz, choć cię zabijano, taki tobie dar, na listy składkowe, do puszek roznoszonych, na kwestę T. S. L... bo trzeba ci milionów uświadomionych, a wiedza jest darem darów.

Przyznam się, iż z żalem przesyłałiśmy Zarządowi głównemu nasz plon z datków 3-go maja, bo sami ogromnie mamy biedną kasę, a nowe ciągle przychodzą wołania o pomoc.

Koło Pań nieco lepiej uwija się z zdobywaniem grosza, bo też łatwiej jest Paniom urządzić czy to majówkę, czy podwieczorek w parku. Mają więcej czasu aniżeli my wszyscy zajęci pracą biurową.

Po kweście 3-go maja trzeba dać jakiś czas wytchnienia publiczności, a pieniędzy prawie niema.

Prezes jest zrozpaczony.

Przychodzi dziś mała dziewczynka z matką.  
— Proszę pana, przyniosłam na T. S. L. dwie korony.

— Dziękuję bardzo, któż cię zachęcił do ofiary?

— „Mały Świątek“ napisał, ażebyśmy dzieci składały datki dla narodu, proszę przyjąć.

Matka mi wyjaśnia:

— Mania dostała pudełko pomadek na imieniny. Ani jednej pomadki nie zjadła sama. Wybierał je braciszek młodszy i za każdą wyjętą pomadkę wkładał do pudełka 4 halerze. W ten sposób zebrało dziewczątko 2 korony i oto przynosi.

Pocziwe, zacne sercel...  
„Mały Światek“ może się chlubić.

Przypadkowo zaniósł mnie bogi do Końca, aż oto nowy postereunek dla nas znaleziony. Pan Mora pracuje z zapałem, chęci ma widać najlepsze, radby, ogromnie wiele radby zrobić, ale trudności są nie do pokonania.

Stara, w pół waląca się szkoła nie może pomieścić dzieci, więc nauka dzieli się na 4 oddziały i ten biedny człowiek 4 razy przez dzień ma lekcji. Od 8-mej do 11-tej najstarsze dzieci, od 12-tej do 1-szej najmłodsze, od 2-giej do 4-tej średnie, od 5-tej do 6-tej nauka dopełniająca...

Czy to dzieć się może w XX wieku w Europie!?

Po zatem przychodzą jedni z prośbą o gazetkę, (pan Mora ma dziennik polityczny), przychodzą na lekcje śpiewu, (pan Mora kieruje chórem wioskowym), przychodzą na odczyty, (pan Mora wyklada osobno dla starszych historię polską).

— Nie śmiałem się zgłaszać do T. S. L. mówi pan Mora, bo wiem, iż ono ogromnie wiele wiosek znajdzie potrzebniejszych od Końca, ale gdybyście państwo mogli, bo wiem, że chęci nie braknie, gdybyście mogli pomóc mi trochę, uczynilibyście bardzo wiele.

Trzydzieści lat stoję tu jak stary żołnierz na widecie, przez tych lat 30 wiercie mi, nikt, nigdy, ani razu nie przyszedł na próg tej chaty, by spytać: — człowieku! w czym ci dopomóż? Chciałem uczyć rzeźbiarstwa, umiem dobrze, bom się w studenckich czasach rwał do tej roboty, nie było komu dać na narzędzia! Chciałem zaprowadzić kursa wyplatank z sitowia, którego tu ogromnie wiele, nie mogłem uprosić u żadnej z władz opiekuńczych o 100 koron na modele i narzędzia. Teraz już zmęczony i przepracowany jestem, o nic nie proszę tylko o książki. Mam tu z 50 książek moich własnych, były czytane może po 20 razy i na pamięć je na wsi umięją. Wiercie mi! miłosierny to uczynek zachęcić lud do czytania, ale sama zachęta to jeszcze mało. Potrzeba dostarczać nowych książek, bo gdzie lud pocznie czytać, tam jednej biblioteki za mało.

— Kiedyż szkołę rozszerzą? Kiedy dadzą nauczyciela drugiego?

— Plany gotowe od lat kilku. — Gmina się opiera. Bieda tu wielka, prawdziwa bieda. Emigracya do Ameryki porywa wszystki siły młode. Chciałbym, by choć tyle czytali nim wyjadą, ażeby zrozumieli, iż Polskę zostawiają — biedną Polskę.

Wróciłem z Walnego zjazdu delegatów T. S. L. A wróciłem tak mały, niski, ugięty i pochylony, iż zdaje mi się nie rychło podźwignę się wyżej i poczuję się czemś więcej jak badylem złamanej trawy.

Słusznie powiedział Mickiewicz:

— Jeśli chcemy, byśmy własny ciężar poznali, trzeba kogoś postawić na przeciwnej szali — a gdy na takim zjeździe delegatów wszystkich Kół postawimy pracę naszego Koła, wtedy jakiś nieznaną ból wpija się ostro w głębi serca i niby szepem wielu ukrytych głosów, odzywają się pytania:

— Dlaczego zrobiliście tak mało?

— Tak mało? pytam sam siebie z zdziwieniem i liczę jeszcze raz dorobek roczny i ważę jeszcze raz plony żniwa naszego i mierzę, o ile posunęliśmy sprawę oświaty ludu naprzód.

— Tak mało!...

— A jednak i ta drobina zdobyta została szturmem, walką, pukaniem do wielu drzwi, wołaniem do wielu serc.

— Tak mało!

— A jednak przywieśliśmy do źródła oświaty cały szereg analfabetów w Brzegu, a jednak zdobyliśmy serce tego nauczyciela w Lasku, który już nie broni wypożyczać książek do czytania temu nieborakowi, co ongi gołębia ukradł, a jednak i wśród tej

młodzieży rzemieślniczej w Mroku zbudziłyśmy ducha, wiedzą chociaż tyle, iż są Polakami...

Sprawozdanie roczne z działalności wszystkich Kół T. S. L. olśniło me oczy.

30.000 członków T. S. L. w kraju!...

270 Kół zorganizowanych...

3.000 czytelni ludowych...

33 szkół nowych, zbudowanych na zagrożonych kresach i w miejscowościach najbardziej potrzebujących oświaty...

To są zdumiewające i imponujące plony...

Czemże ja tam byłem z ubogą naszą szkołą w Brzegu, z niebogatą czytelnią w Lasku i Zalesiu i wykazem innych, dopiero zaczynających się prac?

Czułem się ciągle trochę zawstydzonym i nieśmiałym.

Ale kiedy na porządek dzienny przyszło sprawozdanie z działalności odczytów, gdy delegaci niektórych Kół wykazali, iż w powiatach tych i owych, ani jedna niedziela nie przeszła bez kilku odczytów, gdy się dowiedział, ilu to szło siewców żywego słowa, które padało wprost na serce ludu, i jak skra elektryczna z martwoty w ruch i moc życia wprowadzało całe szeregi, wtędym się pochylili i jakąś dziwną, niewypłakaną łzę czułem pod powieką...

Nasze Koło miało dwu prelegentów i obaj dość leniwo pracowali.

Jeden — to Bicz, poczciwy skarbnik naszego Koła, a drugi — nieudolny i niewytrwały — to ja!...

Cóż po zatem zrobiono?

Czy to ja raz chodziłem, prosiłem, błagałem:

— Zlitujcie się ludzie!... jedźcie na wieś z odczytami!

— Ja panie kochany, nie odmawiam, ja chętnie, ale tego, może dopiero na przyszły rok.

— Ja chętnie, owszem, lubię odczyty, ale nie na wsi, nie umiem popularnie.

— Co panu z odczytem? To ślepe naśladowanie tego, co inni robią. Dajcie waćpanowie najpierw chłopu jeść i pić, to będzie lepsze jak odczyty.

— Jeszcze czas! Jeszcze czas!... To za 100 lat dopiero przyjdzie pora na to!...

Tak jak piaskiem w oczy sypano na mnie uwagami, refleksyami, sądami.

Więc czy to moja wina, iż jako delegat Koła z Mroku przychodzę z tak ubogim plonem.

Wiem, iż każdy światły człek będzie wyrozumiałym i nie posądzi Koło nasze o zupełne lenistwo.

Jednak mam głęboki smutek w duszy i zdaje mi się, niby jakiś ponuroskrzydły ptak dzióbnie raz po raz mózg mój i przypomina:

— Zrobiliście mniej!

— Zrobiliście mało!

Kiedyśmy się zeszli na pierwsze plenarne posiedzenie, kiedy witaliśmy się znani i nieznani, był jakiś majestat niezwykły w tej chwili.

Nikt nie pytał. — Kto jesteś? Jak się nazywasz? Skąd przybywasz?

Lecz wszyscy wiedzieli dobrze, iż jest to zebranie ogromnej rodziny, mającej jedno nazwisko T. S. L. i jedno godło — oświata!...

Młodzi, starzy, ubodzy, bogaci, (lecz zdaje mi się, tych najmniej tam było) doświadczeni i debiutujący akademicy, urzędnicy, nauczyciele i nauczycielki, redaktorowie i literaci, panie pracujące wytrwale, wszyscy stanęli na zjeździe jako na dożynkach z ogromnego ładu ojczystego pola i przyszli nie, ażeby liczyć swoje zasługi lub czekać na oklaski, ale ażeby obliczyć, ile jeszcze do roboty zostało i wiele sił nowych trzeba do dalszej pracy przysporzyć.

I zdawało mi się, iż w progu sali, w której zebrani jesteście, stanie za chwilę nowy Konrad Wyspiańskiego, przydepce stopą wieko grobowe, podniesie pochodnię i powie:

— „Wołaniem naszym zwycięstwo — z ciała i krwi, z woli żywej i żywej Potęgi!

— „Przez serce socha przejdzie rolna,  
przez pierś twą orka — płużny miecz!!!“

A czyż T. S. L. nie prowadzi płużnego  
miecza przez serce ludu i nie ma zastępu  
oraczy, którzy idą z posiewem ducha, ażeby  
zbliżył się dzień wyzwolenia i zwycięstwa?

Dzisiejsze wyzwolenie i dzisiejsza orka!...

Jakże to odmienne czasy i zmienione obo-  
wiąski!...

Wszakże to ongi, za mgłą lat minionych,  
widzimy oraczy krwi, walki, męstwa i zwy-  
cięstwa!...

Stawali okuci w pancerze, z pieśnią „Boga  
Rodzico“ szli odważnie... siali krew, życie  
nieśli wdarze.

Z tamtej siejby rosło męstwo, potęga cnót  
rycerskich, niepodległość i moc Polski wszystko  
to się wiło słoneczną wstęgą sławy i chwały.

Potem przyszły czasy innej siejby...

W rozrosłej bucie i pysze szlachty zamarała  
litość nad tymi, którzy w rycerskiej służbie  
Ojczyźnie nie służyli i herbami piersi nie  
zdobili...

Przyszli więc apostołowie wyzwolenia, twórcy  
dnia 3-go maja...

Lecz runął gmach niepodległości i zam-  
knięto nad nami wieko trumny.

„Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“  
zaczęliśmy szukać wiosny nowej, nadziei ży-  
cia budzącego się w świetle prawdy i wiedzy.

Więc rozsiano szkółki po wsiach.  
Poczyniono nowe szanse obronne i zastępy  
nowych rycerzy powołano do służby.

— Idźcie w lud i uczynicie go siłą narodu!

Tak wołali już ci, którzy z emigracji  
słali emisaryuszy i widzieli, iż bez olbrzymiej  
potęgi uświadomionego ludu przyszłości się  
nie uratuje od zwątpienia.

Tak więc wołają i ci dziś, którzy w orga-  
nizacji i pracy T. S. L. widzą wyzwolenie  
i odrodzenie narodu...

Nie rycerskich walk w rozlewie krwi, nie  
zastępu uzbrojonych hufców, nie chorągwi  
idących w bój szuka dzisiejsza Polska, lecz  
podnosi pochodnię i woła:

„Pochodnia, ogień, światło, żar...“

„Świeci i razem spala.“

„I ciepła razem niesie dar“

„I pożarami w gruz obala.“

Gdyby wszyscy zrozumieć mogli, jak działa  
pochodnia, ogień, światło, żar!...

Na Walnem Zjeździe dzwoniło wołanie po-  
tężne i groźne...

— Kresy! Kresy ratujcie!...

Jedni z wschodu drudzy z zachodu stawali  
przed nami jako emisaryusze i w obrazach  
prawie Grotgierowskich rysowali sceny walki

tej cichej i trudnej, którą się zdobywa mową polską i przynosi uświadomienie narodowe.

Jedni z wschodu drudzy z zachodu przytaczali dowody rozliczne i wykazywali, iż każdy rok, każdy miesiąc zwłoki przynosi straty niepowetowane.

Jedni z wschodu, drudzy z zachodu wołali błaganem najgorętszem: ratujmy kresy!

— Gdy nie utworzymy szkoły dziś w tej miejscowości, jutro Niemcy szkołę założą i dzieci polskiego ludu będą się niemczyć.

— Gdy w tej wsi na wschodzie nie utworzymy klasy z językiem polskim wykładowym, dzieci nasze zapomną po polsku mówić!...

— Gdy na pograniczu kresów śląskich nie stworzymy seminarium naszego nie będziemy mieli przygotowanych pracowników.

— Niemcy złożyli ogromnie wiele na cele germanizacji.

— Rusini idą z wytrwałością silną.

Zasłuchany w te głosy czułem się bardzo strapiony. Toć przecie nie igraszka takie ratowanie ludu narażonego na wynarodowienie.

Toć przecie nie pozowanie i nie szukanie reklamy, jak o nas złośliwi powiadają, gdy my olbrzymie trudy na ramiona bierzemy i wiekopomne dzieła poczynamy!...

Dlaczegoż tylko 30.000 członków T. S. L. liczy, gdy nas są miliony!

O Mroku, ty mój Mroku ubożuchny, kiedy

ty do pracy, na kresach cegielkę przyłóżysz!...

Jeden z delegatów przemawia:

- Żaden kwiatek nie rozkwitnie,
- By go szron nie zmroził...
- Żaden Polak tak nie żyje,
- By mu wróg nie groził.

*Lenartowicz.*

— Z pochodnią w rękę, z miłością w sercu, z słowem otuchy i zachęty idzie dobra księżniczka pomiędzy wioski i pracę niedawno rozpoczętą prowadzi wytrwale.

Zdaje się czasem, iż mnoży się ona w sobowtórach swoich w nieskończoność, bo wszędzie ją spotykamy, widzimy i ślady jej prac szlachetnych znajdujemy.

Niesie książki, otwiera szkółki, rozsiewa zachętę do pracy, odkrywa karty historii, stawia obrazy z lat dawnych przed oczy, rozgrzewa serca i budzi uśpione myśli.

A gdy lud ją z radością wita wśród swoich wiosek na wschodzie — poczynają wołać rozliczne głosy: — Przychodź na zachód, źle nam tu bardzo, pomocy twojej potrzebujemy.

A gdy ona za zachodzie szkółkę buduje, czytelnie otwiera, wykłady miewa, wołają ze wschodu.

— Do nas! do nas, jasna gwiazdo, do nas promyku światła... mrokiem nas chcą zabić.

Tak wschód i zachód wzajem do niej ręce wyciągają i o litość nad sobą proszą...

A ona, „Szkoła ludowa“, w ubożuchnej sukience księżniczka najpiękniejsza, staje na chwilę wśród rozdroża i pyta:

— Gdzie więcej mroku? Gdzie ból tkwi głębszy? Komuż prędzej obrony potrzeba?

— Na wschód!... szepcą jedni przez łyki i opowiadają, ile tam ludu polskiego już nie umie po polsku mówić, ile tam dziatwy w ruskich szkołach zapomina polskich wyrazów, jak tam uczą troskliwi opiekunowie, iż... „tylko panowie są Polacy, a chłopcy wszyscy Rusini, iż Polacy wszystko zło dla chłopów przywiedli z świata nieszczęść, a Rusini tylko od tego uwolnić zdołają“...

Zaś z drugiej strony wyciągając dłonie błagalne wołają biedni ludzie:

— Na zachód! na zachód, na kresy postawione wśród Niemców spiesz z pomocą, jasna księżniczko oświaty, dzieci nasze po polsku nie umieją, Polakami nas tu zwać nie chcą, toniemy wśród rozlewającej się fali hakatystów...

A księżniczka... „Szkoła ludowa“ zadumę ma na czole, niepokój w sercu i znów pyta braci i siostr:

— Dokąd mi?

— Nam trzeba czytelną tysiące!...

— Nam trzeba szkótek początkowych setki!

— Nam trzeba nauki trwałej!

— Nam słowa żywego trzeba, aby tchnąć iskrę życia narodowego i serce z martwoty obudzić.

— Nam trzeba pomocy w pracy, nam szkółki we wiosce, nam rady i opieki...

Tak wołają wzajem Wschód i Zachód, tak ciągle i bezustannie dzwonią szepty ciche, tak skarżą się krzywdy długo cierpiane.

Więc księżniczka światło niosąca powiada stanowczą decyzją:

— Żaden Pola tak nie żyje,  
By mu wróg nie groził.

Żadnego też Polaka, czy na wschodzie czy na zachodzie, na południu, czy na północy, bez opieki mej nie zostawię. Wszędzie będę niosła książki, gazety, obrazy, posyłała prelegentów, budowała szkółki, urzędowała naukę dla analfabetów, uświadamiała w prawach i obowiązkach narodowych. Bo gdy wróg grozi każdemu, każdego trzeba przeciw wrogowi ubezpieczyć, a więc na wschodzie i na zachodzie jedna praca jeden cel, jedno serce.

Czemuż, księżniczko nadobna, troskę masz na czole? Jesteś zawsze najpiękniejszą z wszystkich księżniczek i królewn światła, najwięcej masz oddanych sobie wielbicieli, imię twe wymawiają wszędzie z czcią i szacunkiem, czemuż czoło chmurą troski zasępiasz?

— Na wszystką pracę dla ludu, za mało jeszcze mam rąk, ócz, ust i serc, odpowiada „Szkoła ludowa“ — jeśli nie będę trzy razy silniejszą jak jestem, nie wykonam, de czego mię wołacie...

I, składając rączyny śliczne, zwraca się do wszystkich w kraju księżniczka najpiękniejsza, prosząc błagalnie:

— Do mnie! do mnie! do pomocy, do roboty, do rady, do składek, do obrony!

— Ty śliczna panienko, zaprosz na członka do Towarzystwa dwie inne damy, ty zacny młodzieńcze, weź w szeregi znajomych swoich, ty mamusiu spraszaj gości, by stawali się członkami „Szkoły ludowej“, a tak liczba osób pracujących razem pomnoży się bardzo łatwo! Niech cały kraj do roboty się weźmie, to wtedy groźba wrogów czy z wschodu, czy z zachodu nie będzie ofiar zabierała... Ale...

— Co?

— Ale kto nie może sam pracować, niech pomoże ofiarą grosza na pracę drugich... Kto zjednął dopiero trzech członków dla „Tow. Szkoły ludowej“, niech ich zyska teraz trzydziestu, kto kocha Polskę niech nie pyta „wschód“ czy „zachód“, lecz niech wszędzie w pomoc oświatą spieszy, bo wróg grozi każdemu, ale struje serce **tylko ciemnemu**.

Na weselu Felka złożono na T. S. L. wspinałą kwotę 500 koron!...

Panna Nuta rzekła się bukietu — szampana i muzyki...

Za to myśmy z Koła naszego postanowili co roku w rocznicę ich ślubu przeznaczyć 50 książek do czytelnicy w Podkamieniu.

Oto dzień pełen radości!...

Z kowalowej, ubogiej chaty, ławki i tablica przeniesione do nowej szkoły. Oto Koło nasze święci chrzest pierwszej strażnicy, pierwszej świątyni nauki, zbudowanej przez Koło T. S. L. w Mroku.

Staję na drodze i oczom swoim nie wierzę. Ładna, duża „chata - szkoła“ uśmiecha się do mnie i nęci i wabi tak, iż zdaje mi się nie byłoby siły, któraby zdołała wstrzymać mię, bym tam nie spieszył i nie witał chaty jak coś, do czego się dusza rwała długo, za czem tęsknica wiodła i co szczęście przynosi.

Staję na drodze i patrzę i myślą przemierzam te drogi rozmaitych trudności i przeszkód i wysiłków, którymi nasze Koło musiało stapać, zanim zebrało ogromną sumę 3,700 koron, na to, ażeby zbudować chatę-szkolę...

3,700 koron!...



A czy wiecie wy, którzy budujecie ogromne i wspaniałe gmachy, ile to razy trzeba było kołatać, prosić, przypominać, zachęcać i wyciągać rękę, ażeby z wstępów 20 halerzowych, z losów 10 halerzowych, z datków drobnych, taką wielką sumę stworzyć?...

A czy wiecie wy, którzyście nic nie dali, ani chęcią życzliwą nie chcieli wesprzeć trudów naszego Koła, czy wiecie wy jaką radosną chwilę przeżywa się wtedy, kiedy oto drzwi do chaty-szkółki otwarte i dzwonek woła?

Może gdyby te jodły były wiedziały, na jaki cel je ścinano — kładłyby się chętnie pod ostrze siekiery... gdyby te kamienie, które wydobywano z brzegu skalnego były wiedziały, gdzie je wieźć będą, może byłyby mniej cięży na dłoniach robotników...

Jednak były serca ludzkie twarde i zimne... były oczy niechętnie patrzące na puszkę proszącą o grosz... były uszy, zamykające się na wołanie: — nieśmy oświatę!...

Lecz oto „szkoła - chata“ otwarła wrota... czeka na przybycie dzieci...

— Nasza chato!... — szepcę jakoby do kochanki, wstępując w próg.

— Nasza szkoło! — powtarzam, jakbym imię najdroższej istoty pieścił.

— Będzieszże ty szkoła trwała długie lata i długie lata będziesz matką tej wioski, co jak sierota zapomniana i odtrącona była?

— Zbudowaliśmy ciebie szkółko biedna, jak te mrówki budują swe kopce olbrzymie, znosiliśmy po drobinie, po ziarenku, ale nikt nie narzekał na trud, ani nikt nie liczył, ile w darze wноси...

— A teraz otwierajcie drzwi szeroko, a teraz wołajcie sercem dzwonek, a teraz zastawiajcie gody wiecznotrwale, chlebem i miodem goście tych, co wejdą!... Teraz oto pochodzają iść pacholeta i pić będą z krużnicy czystego i zbierać będą ziarna z pól nieogarnionych mrokiem i będą ubierać się w szaty pełne jasnych blasków i będą żyć życiem całej Ojczyzny...

Co ja widzę? Co ja widzę?  
Jak niewstrzymana w ruchu fala, tak się przesuwa przed moim wzrokiem pochód pokoleń następujących po sobie, dla których wszakże ta uboga szkółka zawsze będzie otwartą, dla których te gody trwać będą ciągle i dźbiać się tu będzie wieczne rozdawnictwo chleba ducha, jasności, wiedzy, aż nie powie nikt, jako teraz mówi wielu: — głodni jesteście!...

Jako ten, kto pierwszy szedł w gąszcz borów prastarych i karczować zaczynał omszałych drzew pnie głęboko wrosłe, jako ten dał początek niwom chlebobajnym, po których szły i iść będą plugi, na których pleni się chleb codzienny — tak i Koło T. S. L. idzie



w gąszcz dziką, wytrzebia nałogi i nawyknięcia — zastawia ucztę dla dusz... a do stołu tego rok po roku zbliżać się będą ubodzy i rok po roku odchodzić będą wzbogaceni...

Święta i jasna chwila.

Ksiądz w białej komży z krzyżem w rękę, oto stoi w progu „chaty-szkoły“ i błogosławi tym, co wejść mają i tym, co spełnili czyn dobry, złożyli ofiarę...

Oto gromadka dzieci z wieńcami polnych kwiatów otacza drzwi otwarte, oto dzwonek gra i śpiewa... a lud stoi wpatrzony, wsłuchany, zadumany.

— Żal ci ludu ukochany, iż tyś szkoły nie miał? — pytam się w duchu tej rzeszy zebranej licznie, a potem zaraz odpowiedź daję, czy pełen szczęścia jestem, czyli pełen tryumfu... nie wiedząc.

— Ty ludu biedny, zapewne pytasz się, dlaczego nasi ojcowie nie przychodzili jako my do waszych wiosek i nie budowali szkółek jako my to czynimy? Otóż trzeba zrozumieć, iż tamci byli jeszcze bojownikami w służbie krwi i ofiar... oni nieśli wam prawa i obronę i miłości żar i pragnienie wolności, lecz nieśli na ostrzu kos, w walkach bohaterskich, w męczeństwie ogniu i poświęceniu, które nie trwożyło się na widok szubienic, ani sybirskich dróg nie lękało się...

Lecz przyszedł dzień... w którym ostatni raz walka stoczona była... przyszedł dzień, w którym ostatni bohater zawisł na szubienicy... a wtedy naród krwią zbrzyzany i knutem pohańbiony, zaczął wołać na nas:

— Idźcie w lud! idźcie w lud...

I oto rozwinął skrzydła ptak...

Jasny, promienny, w słońcu złożony ptak...

Nie mierzy w pierś wroga, lecz do serca ludu się zbliża...

Ma na czole napisane: T. S. L.

Puka do chat — dziecięta zbiera drobne — zastawione gody wskazuje i woła:

— Przez oświatę do wolności!...

— Sekretarzu!... — woła prezes...

A pani Skierka wiewa ku mnie parasolką:

— Macie przemawiać w progu „chaty-szkoły“, czekają wszyscy, a wy ani nie wiecie, co się z wami dzieje!

Po wszystkich przemowach zaśpiewały dzieci parę pieśni narodowych i rozeszły się.

Gospodarze, gospodynie żegnały się szczerze i raz po raz powtarzali: Dziękujemy! dziękujemy!...

Zostaliśmy wreszcie w naszej szkole, my członkowie T. S. L., ksiądz i nauczyciel, który obejmuje pracę w szkołce.

Jest to pracownik jeden z wielu tych, którzy nie „dla chleba“ samego pracują, jest to nauczyciel, który może zwać się „poetą czynu“, tyle umie tchnąć ducha w swą pracę i tyle umie wpleść słońca w życie szare, monotonne, ciężkie... o! niezmiernie ciężkie!...

Czyż to nie Jurek Osik, mój najlepszy kolega z ławy szkolnej i nie ten, który się dlatego podał do naszej szkoły, ażeby być w „Szkołe Słowackiego“?

Prezes uroczyście i poważnie powiada:

— Weź łaskawy panie klucze z rąk naszych i jako bojownik za sprawę świętą stawaj na placówce. Zwycięzcą być musisz, bo powiedział poeta, iż „ten zwycięzca, kto drugim da najwięcej światła od siebie!“ Cała siła, moc i potęga zwycięstwa szkoły nad ciemnotą ludu, spoczywa w sercu nauczyciela... Zwycięży ten, kto będzie umiał z szkoły uczynić prawdziwe słońce i ten zwycięży, kto będzie umiał niestrudzenie obdarowywać tem światłem... Kochaj panie tę ubogą chatę-szkółkę!... kochaj swą pracę, kochaj tych, co się do szkółki rwać będą, kochaj te chaty, które otaczają szkółkę... bo zaiste kapłanem i przewodnikiem być musisz...

Książd zaczyna nieco stłumionym głosem, lecz potem zapala się.

Mówi o tem, iż szkoła matka opiekunką być

powinna, iż wyrozumieć musi nie jeden raz, dlaczego przeszkody jeżyć się będą...

Za długo czekała niwa na siew, więc się chwasty rozrosły... — kończy książd...

Czy warto powtarzać o czem ja mówiłem? Wszak ja zawsze na jedną i tę samą nutę:

— Pomnij zawsze o tem, iż pod hasłem T. S. L. pracujesz, a to ci będzie codziennie nastrojało ducha do wielkiej poezji miłości. Bo powiedz, proszę, czy nie brak u nas właśnie miłości? Są, którzy kochają poezję, sztukę, naukę, wykopaliska, muzea, gmachy, ruiny, klejnoty, tytuły, rangi i siebie, ale tych, którzy lud kochają, mało!... Bo nie kochają ci przecie, którzy tylko wytykają wady i winy, wołając raz po raz:

- Lud leniwy!
- Lud marnotrawny!
- Lud chciwy!...
- Lud pije i kradnie...
- Lud brudny, niedbały, nieufny...

Jakże to niezmiernie łatwo wyliczać winy i upadki tych, których nie nauczono być bezwinnymi!...

A nas, tych „błękitno-krwistych“, tyle wieków wychowywano i uczono... (nie mnie i ciebie, bo my z ludu) i przecież bez skaz i bez omyłek nie przechodzimy przez szlaki życia... My mamy takie same wady i mamy wiele innych. Lud zaś ma ogromnie wiele cnót,

których nam braknie... Należałoby przestać liczyć winy — wpatrując się w dodatnie strony charakterów... Bądź w tej szkole ojcem, nie nauczycielem, bratem nie urzędnikiem, przyjaciele nie zimnym i surowym sędzią!..

Jurek jest rozrzuwniony.

Przyrzeka pracować nie za pensję 80 koron miesięcznie, ale za tytuł „szkoły Słowackiego“.

Gdy tak uroczyście przemawiamy, spostrzegam, iż nieśmiały i cichy „pisarzów“ brat stoi obok drzwi.

Jemu może żal za gromadką dzieci, może mu żal za tą kowalową chatą, w której pracował wytrwale...

Żeśmy tak byli dziś zajęci sprawą wielką i o tym poczciwym pracowniku prawie zapomnieliśmy!..

Podchodzę, wyciągam rękę i pytam:

— Cieszy pana ta szkółka?..

— Szkoła mię cieszy, ale...

— Ale?..

— Chciałbym zwrócić się, do T. S. L. z wielką prośbą...

— Owszem, niech pan mówi, panie prezesie!... oto nasz pierwszy światłodawca przychodzi z prośbą...

„Pisarzów“ brat kłania się i nieco zarumieniony zaczyna:

— Nie ukończyłem szkół wyższych, nie

mam wychowania należytego, ale chciałbym się oświecić, poznałem jak nauka potrzebna... czyliby T. S. L. nie zechciało wskazać mi drogi. Nie żądam pomocy w pieniądzech — utrzymam się, ale nie wiem gdzie udać się...

— Więc pan chciałby nauczycielem zostać — pyta zdziwiony prezes...

— Już mi się inna praca nie nada teraz, kiedy uczyłem dzieci... szło to jako tako, ot, niby więcej z dobrej chęci jak z rozumu... teraz bym rad wyuczyć się.

— Ależ kochany panie! — wołam z radością — ile tylko będziemy mogli, dopomóżemy, poradzimy, zda pan egzamin, nauka pójdzie łatwo.

— Jakoś tak przywykłem do dzieci i do nauki.

— Już pan T. S. L. nie opuści, prawda?... już pan z nami dalej pracować będzie, ślicznie, dobrze... z nami — z nami...

Nasza szkółka w Brzegach już od kowalowej chaty różni się bardzo — praca już będzie prowadzona dobrze, lecz poczciwy „pisarzów“ brat na razie do miasta się przenosi. Oto mamy cel nowy. Dopomóżemy w nauce biedakowi.

Jechałem właśnie przez Lasek.

— Wstąpić czy nie wstąpić do szkoły, ażeby się dowiedzieć, co się dzieje z czytelnia?... sam siebie parę razy pytam, bo do prawdy, bałem się tam wejść. Brudna szkoła, nauczyciel niechętny, pesymizm mroźny, to nie zachęcające rzeczy. Lecz wstąpiłem. Wchodzę! Sam sobie nie wierzę. Toż nauczyciel wita najserdeczniej, wołając:

— Bodaj wam Bóg stokrotnie nagrodził! Bodaj wam wszystko szło na pomoc i porparcie!... Dziękuję z serca!...

Myszę sobie: — za co on mi dziękuje?

A nauczyciel poczciwy tłumaczy:

— Daliście nam książki dobre, ciekawe, daliście nam gazety, toście nas pokrzepili i obdarowali hojnie. Ja sam panie łaskawy jakoś otrząsałem się jak stary pniak z mchu, co go pożerał. A dzieci jak się poprawiły! A ten Jaśko Pobijak, co to pamięta pan?

— Co ukradł gołębia! — z śmiechem szepce.

— Nie to! nie to! ale co to do pana przychodził po książki, ten Jaśko teraz tak się wzięął do nauki, teatr urządził we wsi, nie uwierzyłyby, pan a prawda. Teatr grają, uciecha we wsi, do karczmy nie chodzą, niech wam za to Bóg nagrodzi...

— Nie nam panie, nie nam...

— A komuż?

— T. S. L.!

— Toż T. S. L. wy...

— Nie panie — my to gałązeczki drobne, a wspaniałe drzewo to cała organizacja.

— Zapiszcie i mnie na członka — niech wam Bóg pomaga!

Staję w progu mieszkania pani Zofii jak skamieniały.

— Przenieśli ją?...

— Nikt nie wie dlaczego. Cała wieś płakała, żalność była bezgraniczna. Przeniesiono ją w drodze służbowej.

Właśnie chciałem wybrać się w niedzielę z nową seryą książek do Zalesia i z moją czarnobrewką o bardzo, bardzo ważnych zamiarach pogawędzić, a tu rzucają mi wieść taką ponurą...

— Przyjdź bliżej Jaśku — rzecze pani Zofia — czyż nie umiesz przyjąć spokojnie takiej zmiany?

— Doprawdy, zdaje mi się krzywdę uczyniono dzieciom, wiosce, nam...

— A może ona będzie tam najpotrzebniejsza? A może właśnie ta „dobra pani“, jak ją we wsi nazywano, tam w dalekiej stronie najdzielniejszą się stanie pracownica?...

— Tak daleko! Tak daleko ją wzięli!...

Sto spłoszonych myśli ulatywało z mego

czoła i sto zwiedłych kwiatów spadło z mych marzeń.

Pochyliłem czoło, niemy i ponury patrząc na zachodzące słońce.

— Ostatecznie — mówię sobie — przenieść się także mogę, by być bliżej i w takich stronach pracę rozpocząć. Wszędzie znajdzie się to samo pole i te same dusze ludzkie, nad którymi trzeba rozpalać jasność i te chaty ciche, do których pukać trzeba, nadsłuchując co się tam dzieje...

— Zrobię podanie o przeniesienie, postaram się o szybkie załatwienie, będę bliżej, bo bez niej trudno pracować.

Wstaję i chcę żegnać panią Zofię — lecz w tej chwili wbiega Kubuś, wołając dzwicznym głosem:

— Pytają o pana!... Przyszło dużo dzieci ze wsi i o pana pytają..

Spojrzałem, to z Brzegów wycieczka szkolna do Krakowa wyjeżdżająca...

— Ach! Zapomniałem o nich!

— Za to, iż mnie ubogie pachole z pastwiska wiejskiego poprowadzono w świat prawdy, miłości i czynu, za to, iż wzięto mą duszę, jako kwiat nierozwinięty i ku słońcu nachylono, by rozwijał listki, za to, iż serce me nastrojono do pieśni miłości dla ludu, za to

ja muszę być ciągle z tymi, którzy potrzebują jasności i spłacać dług wdzięczności powinieniem sumiennie.

Śmieją się ze mnie.

Nazywają mię szaleńcem, marzycielem, poetą i rozmaite podobne tytuły przypinają na mnie, jako na narożnych murach nalepiają afisze wrzaskliwe, lecz mię to nie boli i nie smuci.

Kto nie jest „pod miarę“, ten zawsze sądzony i mierzony jest przez wszystkich. I nas, pracujących w T. S. L., mierzą i sądzą rozmaicie. Jedni, którym się zdaje, iż o wiele wyżej od nas stoją, drudzy, którzy mają przeświadczenie, iż wszystko zrobiliby lepiej, gdyby tylko robili.

Jakie są nasze winy?...

Czasem zdaje mi się, iż brałbym owe najuboższe dzieci z ochronek naszych, prowadził je przed oczy krytykujących nas i pytałbym: — czyli nie pragniem dobrze czynić?

Czasem zdaje mi się, iż zbierałbym te książki, których kartki czytowane były tyle razy, iż są tak zniszczone, jak wydeptane są owe ścieżki, którymi tłumy spieszą — przesuwałbym przed oczyma nas sądujących i pytałbym: czyli nie pragniem dobrze czynić?...

Czasem zdaje mi się otwierałbym drzwi do owych szkółek zakładanych przez nas i pytałbym sądujących: — zali to nie dobry czyn?

To znowu do czytelnicy wprowadzałbym na-

paszonych krytyków i prosił, by podsluchali wiele tu się myśli budzi i wiele się tu zła wytepia?...

Tak myślałem, jadąc z wycieczką szkolną z Brzegów do Krakowa.

Dziewucha śpiewała bez przerwy. Wszystkie uczucia radości, zachwytu, ciekawości i niepokoju co też obaczają, to wszystko w śpiewie dzwoniło, szeptało, głębi duszy dziecięcej malowało.

Kilkadziesiąt płowych główek, wychylających się z okien wagonu, kilkadziesiąt głosów, dzwoniących pieśnią wesela, kilkadziesiąt serc, uderzających wzruszeniem, toż nie zwykły dzień życia.

— Poznawanie Ojczyzny, to podwalina miłości dla Niej. Jak mógł lud nasz kochać kraj cały, gdy znał jego tylko cząsteczkę drobną... gdy nic z przeszłości tego wielkiego narodu do niego nie mówiło. Urządzanie wycieczek ludowych, to wspaniała karta w historii T. S. L. — mówi do mnie Jurek Osik, ocierając spocone czoło.

— Jest to lekcja historii nie czytanej z książki drukowanej, ale trzeba umieć ją odczytać i czytać nauczyć.

— Jeśli dziś dziewczyna nie pojmie i nie zrozumie wszystkiego, to przyjdzie chwila, w której siłą wspomnień wstanie obraz widziany w pamięci i uprzytomni przeszłość.

— O!... wiem dobrze, czem dla mnie była wycieczka do Krakowa!... Jeśli stał się Polakiem i umiłowalem tę biedną, nieszczęśliwą Ojczyznę, to zawdzięczam pani Zofii, która jako uboga nauczycielka, gdy jeszcze o T. S. L. nie było wieści, sama, własnym kosztem dzieci do Krakowa wiozła.

— Wisła! Wisła!... — zaczęły wołać dzieci. W ślad za tem huknęła pieśń radosna...

— Wisła, nasza Wisła... nasza polska rzeka! Wjechaliśmy w mury Krakowa i wieżycę Wawelu mignęły w blaskach słońca...

Jedną, ciągle się powtarzającą omyłkę popełniamy.

Patrzmy na lud z wysokości naszego stanowiska, wykształcenia i wychowania, a nie pamiętamy o tem, iż jak powiada Słowacki:— „lud na nas patrzy jak na zgaszoną lampę“ i gdy widzi śpiące uczucia, oddala się od nas i ufności ku nam nie nabędzie.

Bawimy się zawsze w mentorów, w „starszych“ oraz „wyższych“ braci, sądząc, iż jakąś łaskę czynimy, gdy się do tych „niższych“ zbliżamy i tych „młodszych“ napominamy.

A jednak wieleż razy ten lud może i na nas spoglądać z politowaniem i nas uważać za „niższych i młodszych“.

Należy raz zastanowić się nad tem, co stanowi miarę wyższości lub niższości człowieka.

Jedni sądzą, iż urodzenie.

Drudzy — iż tytuł.

Inni — posiadanie majątku uważają za wyższość człowieka.

Jedni wielkość człowieka mierzą świadectwami szkolnymi, drudzy zasługą przodków siebie wynoszą nad tłumy — inni rodzaj pracy uważają za miarę wielkości.

Poustawialiśmy siebie na szczeblach drabiny rang i praw i przywilei, a zdaje się nam częstokroć, iż spełniamy czyny godne uwiecznienia, gdy zstąpimy niżej i „niższych“ znać raczymy.

Lecz życie bezlitosną prawdą odziera często z złudy wielkości.

Bo życie daje plony z istnień tych ludzi, którzy umieli na przyszłość orać i siać, a nie zasklepiali swej duszy w istnieniu samolubnym i ograniczonym kołem dzisiejszych i własnych celów. Bo życie wykazuje straszną różnicę między tymi, którzy orali i siali, a między tymi, którzy tylko pożerali i korzystali z pracy drugich.

I to musi się stać miarą wartości jednostki w narodzie, to, ile ona daje drugim w zamian za to, co od nich odbiera.

My od ludu bierzemy ogromnie wiele — tylko nie chcemy i nie umiemy obliczyć tej

różnicy jaka powstaje po obliczeniu rachunku, wiele lud od nas otrzymuje.

Jak śmieszni są ci, którzy twierdzą wyśniośle:

— Dajemy szkoły!...

Od tych szkół, w których elementarne nauki są udzielane, do tych szkół, których nie ludowi, ale narodowi są potrzebne, jeszcze setki tysięcy wielkich uczelni należy otwierać.

Każde polskie serce szkołą jest i każdy Polak winien być nauczycielem. Sami siebie musimy wyrabiać duchowo, sami siebie z cieni i mroków wydzwigając musimy, ażebyśmy dojrzeli do pracy obywatelskiej i umieli dawać ludowi tyle, ile od niego bierzemy.

Znów idzie jesień.

Znów się ścielą dymy po ścierniskach, ptaki z krzykiem ciągną w dal, po chatach już widać płonące światła, wieczory się robią dłuższe.

Znów z licznych wsi i szkółek sypią się na nas wołania:

— Książek! gazety... czytelnie nam dajcie!...

Znów wydzierzawia się chatę na tymczasową szkołę w wiosce, z której do Ameryki jadą i tam się uczą poznawać „drukowane“, znów gromadka strasznych dzieci na ulicy bije się, kaleczy, wszystkie zwierzęce instynkta



w siebie chłonie, znów trzeba kurs dla anal-  
fabetów organizować i znowu trzeba cho-  
dzić, pukać i prosić: — dajcie na T. S. L.  
ofiarę! Pomóżcie w pracy nad oświatą na-  
rodu!...

Koło pań w Mroku, bierze nad nami górę.  
Nie dziwi mię to wcale.

Panie są o wiele w szczęśliwszem położe-  
niu od nas. One mają te wszystkie godziny  
wolne, które nas pracowników biurowych  
przykuwają pracą dla chleba.

Gdyby wszystkie panie zrozumiały, czym  
jest T. S. L... w jednym roku zdziałać byśmy  
mogli więcej, jak zdziałaliśmy w latach kilku.

Lecz są „senne duszki“ i tym bardzo spo-  
kojnie życie mijają.

Nie wyciągają one rąk jak my i nie pro-  
szą o poparcie.

Ale do nich nie uśmiechają się tak dzieci  
po wioskowych szkołach jak do nas.

„Pisarzów brat“ przygotowuje się do ma-  
tury i rozwija się umysłowo doskonale.

Nasza szkółka z kowalowej chaty nie tylko  
analfabetów wyprowadziła z ciemnoty. Jed-  
nostkę jedną powiodła do pracy dalszej  
i w tem już jest plon korzystny.

Przychodzi mi na myśl, czemu kresowej  
pracy dopomóż. Żal mi, iż dotychczas zajęci

lokalnymi celami, dla kresów istotnie nie  
wiele, a prawie nic nie uczyniliśmy.

Pani Zofia powiada:

— Zawsze się kresom naszym krzywda  
działa i zawsze bracia ci kresowi w boju  
trwać musieli. Lecz teraz może cięższe są dni  
walki jako ongi były.

— My tu z ciemnotą tylko się mocujemy,  
a tam i ciemnotę trzeba deptać i obce wpływy  
wyżerać, wypalać, wydzierać z nawyknień.

Tam trzeba umieć odkrywać plany wro-  
gów i wyprzedzać wypadki przygotowywane.  
Gdybym nie była tak życiem złamana i gdy-  
bym więcej sił miała, poszłabym jeszcze raz  
na służbę, na kresy bym spieszyła, bo do-  
prawdy nie znam ciszy i ukojenia gdy myślę,  
iż kresom pracy mej nie dałam.

— A ja gdybym mógł znaleźć kawał chleba  
poza mą pracą, szedłbym na kresy.

Tak gawędzimy o szarym mroku w po-  
koju pani Zofii, aż nagle głos słodki wpada  
do uszu moich.

— Podśluchałam i pójde na kresy...

— Pani tu?... Wando!

— Dziecko moje! — Pani Zofia wyciąga  
ręce.. Czarnobrewka stoi przed nami śliczna  
jak marzenie.

— Weszłam cichutko i słucham, o czym  
przyjaciele gwarzą... aż tu padają słowa po-  
jętne... tak jest! tak jest! Na kresy i wśród

43. —  
kresów pracować trzeba, bo tam najcięższa  
i najpilniejsza, praca.

Jakże to cudny wieczór jesienny!...

Ileż to uczuć, wrażeń, myśli...

Całe Zalesie przed oczyma, polne ścieżki,  
bławaty, śpiewy dzieci, to wszystko się przy-  
pomina — obraz senny, promienny w oczach  
się moich pali...

Nie rozejdziemy się teraz — musimy mieć  
wspólną drogę...

O moja piękna! Jak długo czekałem, ażeby  
cię ujrzeć!...

Nachylam się, wyciągam rękę... szept cichy...

— Jeszcze rok, dwa, służba na kresach —  
odpowiada czarnobrewka — jeszcze tam trzeba  
serce nieść i do serc pukać...

— Jeszcze rok, jeszcze dwa... — powta-  
rzam pochyliwszy głowę, a potem nic nas nie  
rozłączy.

Noc cicha...

Białe płatki śniegu spadają...

Błady księżyc oświeca widok daleki...

Oparty o okno gonię myślą od krańca  
w kraniec.

Nad obszarami przelata duch biały, nachyla  
się do okien chat — puka...

— Otwórzcie!...

T. S. L. zaczęta, ale nie skończona nić!

Po sercach ją trzeba rozsnuć i wid...

